

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW
I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

ISSN 1426-195
ROK XXXIII nr 2 (128)
Wiosna 2021
Cena: 5 zł



Małgorzata Prajer

Mój dziadek - Władysław Piotr Prajer (1879-1956)

Władysław Piotr Prajer urodził się 29 czerwca 1879 roku w Wojakowej (powiat brzeski). Ojciec Franciszek Antoni Prajer (1838-1913) był nauczycielem ludowym, a matka Katarzyna *de domo* Pitułka (1851-1922) zajmowała się domem. Rodzice mieli kilkoro dzieci. Władysław uczył się początkowo w Gimnazjum w Tarnowie, a następnie w Gimnazjum wyższym w Bochni.



Władysław Prajer w mundurze gimnazjalnym 1901 r. (w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Archiwum Fotograficzne Muzeum Narodowego w Krakowie)

Wydawało wielu absolwentów, którzy w przyszłości zasłu-

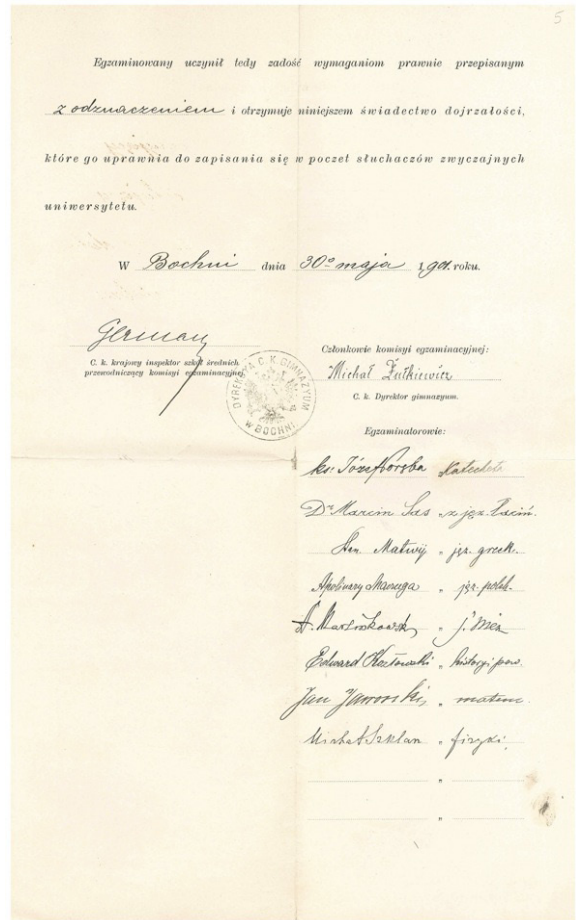
żyli się dla polskiej nauki i kultury. Gospodarzem klasy, do której chodził Władysław Prajer, był prof. Edward Kozłowski, nauczyciel historii powszechnej i geografii. Prajer należał do najlepszych uczniów. Wśród wyjątkowo zdolnych jego kolegów z klasy, warto wspomnieć o Franciszku Sypku przyszłym prawniku i o Władysławie Skoczylasie, w przyszłości, absolwencie krakowskiej ASP, znanym malarzu i grafiku.

Ta właśnie klasa zdawała maturę 120 lat temu, w 1901 r. a Władysław Prajer zdał egzamin dojrzałości z odznaczeniem.

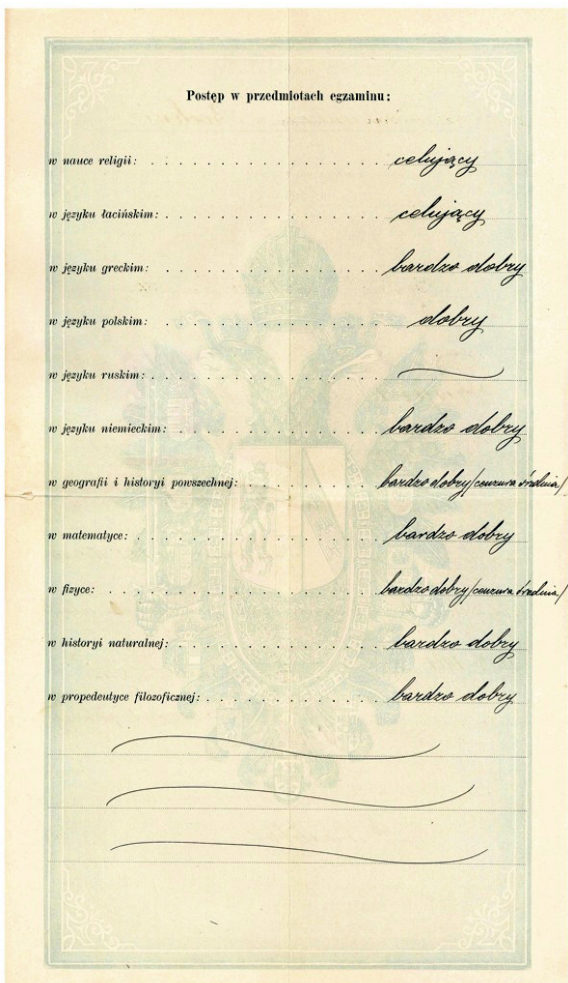
Po maturze zamieszkał w Krakowie, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po ich ukończeniu podjął studia na Wydziale Prawa. Równocześnie z rozpoczęciem nauki na Uniwersytecie zaczął też pracować w Muzeum Narodowym - początkowo przy inwentaryzacji i katalogowaniu zbiorów. W 1902 roku przygotował opracowanie kolekcji prac znamienitego, pochodzącego z Gdańska, polsko-niemieckiego rysownika i grafika epoki Oświecenia Daniela Chodowieckiego. Było to pierwsze opracowanie polskiej kolekcji muzealnej prac tego wybitnego artysty. W 1906 roku Władysław Prajer opuścił Kraków i przez pewien czas pracował jako zastępca nauczyciela w gimnazjach w Dębicy, Drohobyczu i w Brodach. W 1916 roku powrócił do Krakowa i ponownie został zatrudniony w Muzeum Narodowym.



Laurka dla prof. Kozłowskiego z 1901 r. - fot. B. Mrówka, wł. Muzeum w Bochni im. St. Fischera



Świadectwo dojrzałości Wł. Prajera wyd. przez Gimnazjum w Bochni 1901 (w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Archiwum Fotograficzne Muzeum Narodowego w Krakowie)



Życie Władysława Prajera było wypełnione ideami patriotycznymi i wolnościowymi. Przed pierwszą wojną światową należał do paramilitarnej organizacji strzeleckiej – w Krakowie było to Towarzystwo „Strzelec”. W latach 1914 – 1917 służył w 2 pułku Legionów Polskich. Podczas walk został ranny, a w 1923 r. otrzymał status inwalidy wojennego. Za udział w wojnie został odznaczony Krzyżem Legionowym.

Po wojnie ożenił się z Zofią de domo Tymbarską (1895 – 1995). Pochodziła ona z Nowego Sącza, gdzie ukończyła



C.K. Gimnazjum w Bochni. Kartka pocztowa z początku XX w. Wydawnictwo L.S. Mal. Polskich. Bochnia (zb. pryw.)



Z bratem Julianem na wycieczce rowerowej nad Dunajcem lata 20. XX w. (wł. M. Prajer)



W mundurze „Strzelca” (ok. 1914 r lub wcześniej) wł. M. Prajer

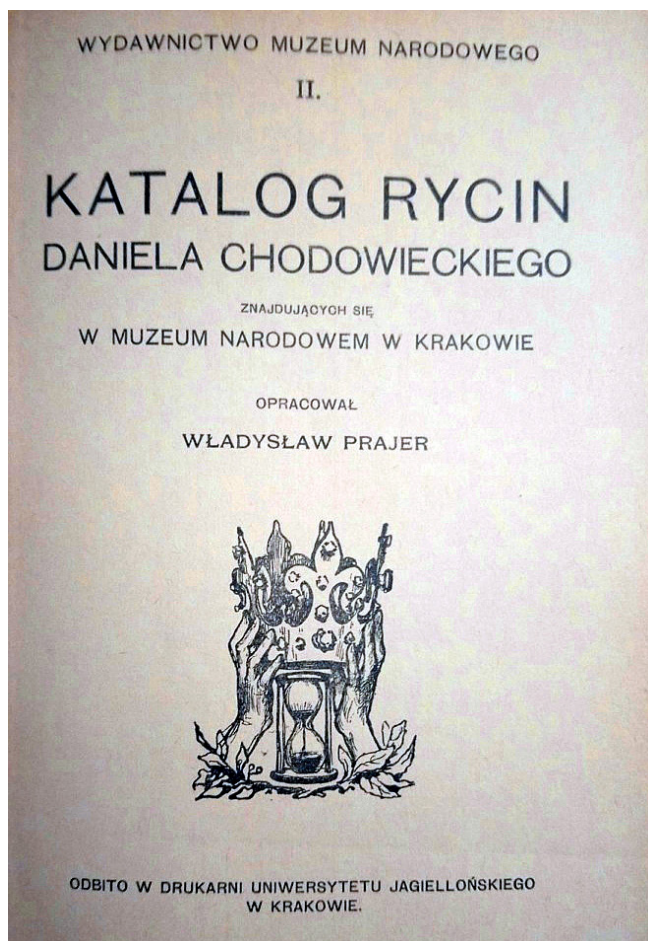
Seminarium Nauczycielskie. Mieli jednego syna Antoniego Kazimierza (1925 - 2001). W domu panował kult Marszałka

Piłsudskiego i Legionów. Władysław Prajer kolekcjonował wszelkie pamiątki legionowe, a także opracowania i artykuły dotyczące działalności Marszałka. W domowym gabinecie na honorowym miejscu był wyeksponowany jego portret.

Za działalność na rzecz wolnej Ojczyzny, Prezydent miasta Krakowa w 1930 roku nadał Władysławowi Prajerowi Medal Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości. W 1932 roku został mu przyznany Krzyż Niepodległości za pracę w dziele odzyskania niepodległości. W 1938 roku został odznaczony przez Prezesa Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej Złotym Krzyżem Zasługi. To najwyższe odznaczenie było przyznawane osobom, które po odzyskaniu niepodległości w 1919 roku wyróżniły się w pracy dla kraju i społeczeństwa.

Władysław Prajer obdarzony był zdolnościami plastycznymi. W wolnym czasie, dla przyjemności, zajmował się kopiowaniem obrazów polskich malarzy. Szczególnie upodobał sobie pejzaże L. Wyczółkowskiego i J. Fałata, a także W. Szymanowskiego. Jego ulubioną techniką był pastel oraz akwarela i gwasz. Z wielką precyzją skopiował też kilka drzeworytów japońskich z motywami roślinno-zwierzęcymi. Wykonane przez niego bardzo dobre kopie znanych, ale też i mniej znanych obrazów przechowywanych w magazynach muzealnych, zdobiły ściany w jego własnym domu, a także mieszkania rodziny i przyjaciół. W 1936 roku brał udział w konkursie na herb miasta Gdyni, gdzie przedstawił własne interesujące projekty.

Z Muzeum Narodowym w Krakowie Władysław Prajer był związany przez prawie całe swoje życie. Był jednym z najdłuższej zatrudnionych pracowników tej instytucji (1901 – 1956). Od 1925 roku pełnił funkcję kustosa Muzeum Narodowego. W ówczesnych czasach było to stanowisko prestiżowe, a nominacja była nadawana przez Prezydenta miasta Krakowa. W 1929 roku otrzymał z Magistratu mieszkanie służbowe w centrum Krakowa przy ul. Karmelickiej. Stanowiło je całe piętro domu, którego parter i przyziemie zajmowały magazyny



(wł. M. Prajer)



Władysław Prajer, lata 20. XX w. (wł. M. Prajer)

W 1952 roku został ponownie odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za swoje wieloletnie zaangażowanie w pracy zawodowej.

ny muzealne. Niestety, w czasie wojny mieszkanie zostało stracone bezpowrotnie.

Muzeum Narodowe doceniało swojego pracownika nadając mu w 1938 roku Brązowy, a w rok później Srebrny medal za długoletnią służbę. Po przejściu na emeryturę w 1949 roku nadal pracował w Muzeum, w charakterze pracownika kontraktowego, na stanowisku Kierownika Działu Sztuki Dalekiego Wschodu.



Władysław Prajer z synem przy sypaniu kopca Piłsudskiego. (wł. M. Prajer)

Władysław Prajer zmarł 21 maja 1956 roku, został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Pani Małgorzata Prajer dr hab. nauk biol. jest emerytowanym pracownikiem Polskiej Akademii Nauk w Krakowie

Janina Kęsek

Pamiętki czasów zarazy w Bochni

Zaczęliśmy drugi rok pandemii coronawirusa. Pandemia, pojęcie do tej pory nieznanne, to globalna epidemia, rozprzestrzeniająca się na wszystkie kraje świata. Zadajemy sobie pytanie- jak długo jeszcze ?

Wydawało się, że epidemie chorób wirusowych, które w przeszłości pojawiały się od czasu do czasu, zostały już całkowicie opanowane przez współczesną medycynę.

W przeszłości epidemie, które gnębiły ludzkość, trwały przeważnie kilka miesięcy, były niespodziewane i gwałtowne, zbierały obfite żniwo, dziesiątkując miasto. Ludność była bezradna. Były to głównie epidemie dżumy lub cholery zwane potocznie morowym powietrzem.

Jedynego ratunku upatrywano w modlitwie. Proszono o pomoc świętych, patronów od morowego powietrza. Do najbardziej popularnych należeli: św. Rozalia, św. Sebastian, św. Roch, a z polskich świętych to ci, którzy ryzykując własnym życiem, opiekowali się chorymi, św. Andrzej Bobola i bł. Szymon z Lipnicy Murowanej.

Epidemie cholery w przeszłości

Również i Bochnia doświadczała wielokrotnie tych tragedii. Brak mate-

riałów nie pozwala na poznanie, w jakich latach i z jaką siłą morowe powietrze atakowało Bochnię.

Pierwsza informacja o morowym powietrzu w Bochni pochodzi dopiero z roku 1573. Zaraza w 1601 r. dziesiątkowała miasto od wiosny do jesieni. Podczas epidemii w 1622 r. wymarła połowa mieszkańców miasta i z ośmiu tysięcy pozostało tylko cztery. Najczęściej występującą chorobą epidemiczną była tu cholera. Zmarłych, ze względów sanitarnych, nie chowano na cmentarzach przykościelnych, ale we wspólnych mogiłach za miastem w różnych miejscach. Jeden z takich zbiorowych pochówków był przy kaplicy św. Sebastiana przy drodze do Chodenic (obecna ul. Karosek) Do dziś zachowała się kamienna kolumna z inskrypcją z 1762 r., upamiętniająca ten cmentarz. Inskrypcja na postumencie kolumny informuje, że:



Kolumna przy ul. Karosek w Bochni upamiętniająca miejsce pochówku zmarłych w czasie zarazy w 1762 r.- wł. prywatna

*Kiedy powietrze w Bochni grasowało
Na tym miejscu grzebano
Ciał ludzkich nie mało
Westchnij proszę za dusze
A zówń Pozdrowienia
Maryi, by gasiła
Czyszczowe płomienia*

A.D. 1762 26 Junii!

Wielka epidemia cholery nawiedziła Bochnię w lipcu 1831 r. Od lipca do października tego roku, kiedy to morowe powietrze „horrende grassabat” codziennie umierało w Bochni 20 - 30 osób.

Nie było czasu i warunków na ceremonie pogrzebowe. Zmarłych chowano nocą w zbiorowej mogile za miastem w polach, tym razem na Krakowskim Przedmieściu. Ten duży zbiorowy grób epidemiczny w Bochni nazywano cmentarzem cholerycznym, albo cmentarzem św. Rozalii. Miejsce to upamiętniono drewnianym krzyżem. Na tym miejscu chowano też zmarłych podczas następnych epidemii w latach 1847, 1848, 1864, 1873 - łącznie 575 osób.

W 1911 r. miasto kupiło teren pod drugi w Bochni cmentarz komunalny. Teren ten leżący na zachodnich przedpolach miasta, był niedaleko dawnego cmentarza cholerycznego. W pamięci ludzkiej zakodowało się, że jest to, to samo miejsce i nowy cmentarz nazywano im. św. Rozalii.

Nazwa tradycyjna została zaakceptowana przez władze miasta i urzędowo nadana temu drugiemu w Bochni cmentarzowi komunalnemu.

W 1849 r. po raz kolejny epidemia cholery nawiedziła Bochnię. „(...) Jej gwałtownemu rozprzestrzenianiu się sprzyjała obecność kilkutysięcznego korpusu wojsk rosyjskich spieszących z pomocą Austrii w celu stłumienia niepodległościowego zrywu Węgrów. Wówczas niewymownym sposobem ta cholera się srożyła, szczególnie w lazaretach wojskowych i w szpitalu miejskim. (...)”²

W środowisku bocheńskich górników powstała myśl, by zorganizować procesję z Bochni do Łączycy, by tam w kościółku Matki Bożej błagać przez wstawiennictwo św. Rozalii o ustanie zarazy. Inicjatywa ta uzyskała aprobatę władz kościelnych i pierwsza procesja do Łączycy wyruszyła z kościoła św. Mikołaja w połowie lipca 1849. Jeszcze w drodze do Łączycy zmarło kilka osób, ale w drodze powrotnej już nikt. Epidemia ustała z dnia na dzień. Od tej pory każdego roku w połowie lipca wyrusza pielgrzymka błagalna - dziękczynna do Łączycy. Idzie tą samą trasą jaką przemierzali przodkowie 172 lata temu: ul. Bernardyńską, Krakowską, Krakowskim Przedmieściem dalej starym traktem królewskim zwanym „Via Regia”.

Kiedyś w procesji niesiono chorągiew z pięknym wizerunkiem świętej Pustelnicy z Palermo. Chorągiew ta, dziś nieużywana, może zapomniana, nadal jest w kościele św. Mikołaja.

Kult św. Rozalii w Bochni

Okazuje się, że Bochnia jest jednym z najstarszych miejsc

kultu św. Rozalii, patronki od morowego powietrza. Modlono się do niej, wzywano pomocy, śpiewano pieśni do tej Patronki. Według pewnych przekazów, już w XVI wieku był w kościele dominikanów w Bochni ołtarz św. Rozalii, którym opiekował się cech stolarzy. Jeżeli te informacje są prawdziwe, to św. Rozalia była czczona w Bochni przeszło sto lat przed jej kanonizacją w 1630 roku. Ten pierwszy ołtarz św. Rozalii nie zachował się. W XVIII w. powstał nowy ołtarz tej Patronki w kościele dominikanów w Bochni, tym razem ufundowany przez cech kuźnierzy.

(...) „Okolo 1730 r. kuźnierze z bliżej nieznanymi przyczynami przenieśli się z kościoła dominikańskiego do parafialnego, w którym postawili ołtarz p.w. św. Rozalii. Ołtarz w 1730 r. był jeszcze prowizoryczny, przenośny, a ulokowano go na ścianie północnej blisko drzwi wejściowych.

Święta Rozalia na obrazie miała suknię srebrną i trzymała w ręku laskę pielgrzymią. Nad nią unosił się Duch św. Drugi obraz ołtarzowy przedstawiał św. Rocha z dwoma srebrnymi skrzelami – fantazyjnymi dekoracjami snycerskimi. Dziesięć lat później stał na tym miejscu ołtarz stacjonarny, który został uposażony przez Stanisława Knorowicza kuźnierza, sumą dziesięciu złotych rocznego czynszu. Ołtarz miał trzy obrazy: św. Rozalii, św. Rocha i św. Sebastiana. W nowym ołtarzu św. Rozalia była przepasana srebrnym sznurem. Na głowie miała wieniec ze srebra, a w ręku trzymała srebrną lilję. Natomiast laska pielgrzymia stała się atrybutem św. Rocha. W zwierciadle ołtarzowym zaś widniał wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej (...)”³

W połowie XVIII w. znany malarz i rzeźbiarz Piotr Kornecki z Gdowa, wykonał do kościoła św. Mikołaja w Bochni szereg prac. Wśród nich także nowy ołtarz św. Rozalii i jej wizerunek do tego ołtarza. Ten nowy ołtarz ustawiono przy jednym z filarów oddzielających nawę główną od nawy północnej, w pobliżu miejsca, gdzie stał dawny ołtarz kuźnierski.⁴

Ołtarz św. Rozalii, dzieło Piotra Korneckiego istnieje do dziś, jednak obraz Świętej, który się w nim znajduje, został podmieniony i ten, który do dziś widoczny jest w ołtarzu, bez wątplenia nie jest dziełem Korneckiego. Przedstawia św. Rozalię oraz św. Sebastiana z lewej i św. Rocha z prawej strony.



Zewnętrzna ściana prezbiterium kościoła św. Mikołaja w Bochni z widocznym obrazem św. Rozalii. Fot. J. Kęsek



św. Rozalia pustelnica z Palermo, obraz, być może autorstwa P. Korneckiego, na zewnętrznej ścianie kościoła. Fot. J. Kęsek

U góry widoczny jest Bóg Ojciec, wychylający się spośród chmur, i aniołki (putta). Nad głową św. Rozalii przedstawiony jest Duch św. Postać św. Rozalii zdobia wota w postaci srebrnej sukienki i promienistej aureoli wokół jej głowy.

Co stało się z obrazem autorstwa Korneckiego? Być może, w poł. XIX w. został przeniesiony na zewnętrzną ścianę kościoła, kiedy z powodu zarazy kościół był zamknięty, a ludzie gromadzili się przed zamkniętą świątynią, by prosić o odwrócenie morowego powietrza.

Bocheński drukarz Wawrzyniec Pisz wydał w tym czasie szereg druków ulotnych zawierających „wielce skuteczne” modlitwy (nowenny, litanie, godzinki) i pieśni do św. Rozalii, patronki od morowego powietrza.

W tradycji ustnej zachowała się do naszych czasów *Pieśń o cholercie*. W latach 80. XX w. pamiętał ją i śpiewał opiekun kaplicy św. Rozalii, Stanisław Pawełek z Krakowskiego Przedmieścia.

*Święta Panno Rozalijo, kwiecie,
Niebieska Lilijo*

*spójrzaj okiem łaskawości
na nas grzesznych z wysokości.*

*Wysłuchaj prosby płaczących
o Twoją litość żebrzących.*

*A zachowaj nas od złego
od powietrza morowego
które się do nas zbliżyło, aby
nas nędznych trapiło.*

*Wszędzie krzyk i narzekania
o pomoc głośne wołania.*

*Kara Boża już nad nami,
domy zastane trupami.*

*Wszystkich śmierć w paszczę chwyciła,
jeszcze się nie nasyciła.*

Puste domy i pałace, ustały lamenty i płacze.

*Zmiłuj się Panno nad nami
utrapiionymi sługami.*

*Nie zabieraj nam ze świata
ojca, matki, syna, brata.⁵*

Kaplica św. Rozalii na Krakowskim Przedmieściu

O popularnym w Bochni kulcie św. Rozalii świadczy też istniejąca do dziś kaplica pod Jej wezwaniem wzniesiona w XIX w. na Krakowskim Przedmieściu.

W piśmie *Chata* z 1873 r. jest opowiadanie tłumaczące, dlaczego właśnie tam zaczął szerzyć się kult św. Rozalii.

Na Krakowskim Przedmieściu było pole, którego właścicielem na pocz. XIX w. był pan Jastrzębski.

„(...) Na tym polu rósł dąb, w którego konarach ukazywała się jakaś świetlista postać. Ponieważ w tym czasie grasowało

morowe powietrze, uznano, że to pewnie św. Rozalia przypomina o swoim orędownictwie, dlatego więc pod tym dębem zaczęli gromadzić się ludzie modląc się o odwrócenie zarazy. Z czasem, ktoś zawiesił na tym drzewie obraz św. Rozalii. (...) Właściciel pola miał w posiadaniu swem starodawny obraz św. Rozalii i utrzymywał takowy na dębie wśród pola. Tymczasem Jastrzębski poległ na wojnie (w powstaniu listopadowym 1830/1831 r.), a jeden z obywateli bocheńskich, grunt po nim nabył i odstąpił pod kaplicę, tę właśnie cząstkę, na której stał dąb. (...)”⁶



Pielgrzymka do Łapczycy wyrusza z kościoła św. Mikołaja. Fot. K. Pasierb 2002 r.



Kaplica św. Rozalii na Krakowskim Przedmieściu. Fot. Alina Bukowska

Ponieważ modlitwy wiernych zostały wysłuchane, uznano że w tym miejscu powinna stanąć kaplica ku czci św. Rozalii. Ze środków zebranych drogą kwesty i pracą społeczną wybudowano kaplicę, prawdopodobnie ok. 1832 r. Bocheńska mieszcza, Józefa Stelzig ofiarowała do ołtarza w tej kaplicy, obraz nieznanego artysty, sprowadzony z Wiednia, przedstawiający św. Rozalię.

Kaplica stała poza miastem, w ustronnym miejscu, przy drodze do Łapczycy. Wzmagal się kult św. Rozalii w Bochni, szczególnie po udokumentowanych, cudownych uzdrowieniach. Coraz więcej wiernych przybywało do kaplicy, która już była zbyt mała, by wszystkich pomieścić. W latach 40-tych lub 50-tych XIX w. rozbudowano ją, podobnie jak poprzednią siłami społecznymi. Rozbieżne informacje nie pozwalają na poznanie dokładnej daty rozbudowy, ale pewne jest, że w 1856 r. kaplica była taka, jaka zachowała się do naszych czasów. Dokładny opis kaplicy i jej wystroju podaje *Schematyzm diecezji tarnowskiej* z 1983 r.⁷

Od 1984 r. kaplica św. Rozalii na Krakowskim Przedmieściu znajduje się w obrębie nowo powstałej parafii św. Pawła Apostoła, utworzonej dla zachodniej części miasta, rozwijającej się intensywnie od lat 80. XX w. Powstały tu nowe, duże osiedla mieszkaniowe, szkoła, sklepy.

Kaplica św. Rozalii, która niegdyś była poza miastem, znalazła się tuż przy Osiedlu Windakiewicza i przy ruchliwej ulicy prowadzącej do Osiedla Niepodległości. Otworzyła się nowa szansa dla zaniedbanej od lat kaplicy. Grono mieszkańców Osiedla im. E. Windakiewicza postarało się o gruntowny remont obiektu. W 2007 r. zawiązał się Komitet Odnowy Kaplicy św. Rozalii w składzie: ks. infułat Jan Nowakowski proboszcz parafii św. Pawła Apostoła, Marta Babicz, Alina Bukowska, Zbigniew Cisło, Janusz Czarnota, Marek Gruca, Jacek Kobiela, Julia

Krzak, Krystyna Mleczek, Kazimierz Noga, Teresa Szydłowska, Kazimierz Uriasz, Emil Wątroba oraz Anna i Kazimierz Wróblowie.⁸

Organizowano składki wśród mieszkańców, szukano sponsorów. Kilka osób złożyło znaczne ofiary pieniężne. W prace przy remoncie kaplicy włączyło wiele osób i firm bocheńskich, poświęcając swój czas i umiejętności, większość prac wykonano społecznie. W 2012 r. wzmocniono i osuszono fundamenty kaplicy, prace te sfinansował Urząd Miasta. Remont dachu i nowe rynny wykonała firma p. Tadeusza Kumora, a nową instalację elektryczną - firma Kazimierza Nogi. Elewacje i malowanie wnętrza kaplicy wykonała firma p. Józefa Majerskiego. Przy odnowie ołtarza pracowało kilku stolarzy.

Pan Emil Wątroba zajął się naprawą wyposażenia kaplicy i miał nadzór nad wykonywanymi pracami. Stare, piękne lichtarze odnowił Kazimierz Wróbel. Dwie XIX-wieczne rzeźby pochodzące z pracowni Wojciecha Samka odnowił Witold Fleszar. Konserwacji relikwiarza podjęła się Julia Krzak, a odnowę antepedium przeprowadziła Alina Bukowska z pomocą wnuczki Julii Cierniak. Konserwację obrazu św. Rozalii przeprowadził Jacek Kobiela. Wszystkie te prace wykonane były gratis.⁹

Prace remontowe zakończono w 2008 r. uroczystą mszą św. Od tej pory kaplica jest dostępna dla każdego na co dzień. Zamontowano przeszklone drzwi z przedsionka do kaplicy, ufundowane przez Urząd Miasta. Dzięki temu można pomodlić się i obejrzeć wnętrze kaplicy. Urząd Miasta zasponsorował też system alarmowy i jego zainstalowanie.

Na czele Komitetu Społecznego Opiekującego się Kaplicą św. Rozalii stała Krystyna Mleczek, następnie Alina Bukowska, a obecnie Teresa Szydłowska.

Nabożeństwa w kaplicy odbywają się zgodnie z rytmem roku liturgicznego: w maju nabożeństwa majowe, w czerwcu do Serca Pana Jezusa, w październiku nabożeństwa różańcowe.

Za zgodą władz kościelnych 4 września odprawiana jest msza św. odpustowa, a przez następne dni od 5 do 13 wrze-

śnia nowenna do św. Rozalii. Śpiewana jest też wtedy *Pieśń do św. Rozalii* ułożona przez Piotra Mrocza, organistę z parafii św. Pawła Apostoła do słów pieśni wydanej drukiem w XIX w., w oficynie Wawrzyńca Pisza.¹⁰

Dwa lata temu, z inicjatywy mieszkańców, w najbliższym sąsiedztwie kaplicy, w lokalu na parterze bloku powstał Klub Seniora „Rozalka”.

Jak widać kult św. Rozalii w Bochni trwa od XVI w. do dziś. W ubiegłym roku z powodu pandemii opiekunowie kaplicy, umieścili przy ul. Legionów Polskich, duży billboard z reprodukcją wizerunku św. Rozalii przypominający o jej orędownictwie w czasach zarazy.

Przypisy:

¹ Kilkanaście lat temu, w związku z budową północnej obwodnicy Bochni i ronda na ul. Karosek kolumna została przeniesiona na cmentarz i umieszczona w pobliżu bramy cmentarnej od strony Karoska.

² *Liber memorabilium Par. S. Annae* 1849, Łapczyca

³ T. Wojciechowski, *Kościelne dzieje Bochni w czasach staropolskich*, Tuchów 2003, s. 47-48

⁴ *Liber memorabilium Par. S. Nicolai* 1769

⁵ St. Kobiela ówczesny prezes naszego Stowarzyszenia utwalił w 1975 r. na taśmie magnetofonowej *Pieśń o cholery* w wykonaniu Stanisława Pawelka.

⁶ NN. Nieco o Bochni i jej świątyniach, w... *Chata*, 1873 nr 17 s. 253-254

⁷ *Kapliczki, figury i krzyże przydrożne na terenie diecezji tarnowskiej*, red. ks. Jan Rzepa, *Schematyzm diecezji tarnowskiej* 1983, Tarnów 1983 s. 66

⁸ M. Babicz, *Ocalona od zapomnienia*, w: *Głos Parafii*, R. XV/2008 nr 4

⁹ *Kapliczka św. Rozalii uratowana*, w: *Głos Parafii*, R. XV/2008 nr 5

¹⁰ Bardziej szczegółowo omówiłam temat w pracy *Kult św. Rozalii w Bochni dawniej i dziś*, wyd. Urząd Miasta Bochnia 2013



Pierwszy Komitet Społeczny Opiekujący się Kaplicą św. Rozalii Fot. Antonina Bukowska

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA BOCHNIACÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

Redakcja: Janina Kęsek – red. naczelny, Stanisław Mróz, Ewelina Mroczek, Anna Londo, Dorota Korta, Jan Paluch, Krystyna Janus.
Adres redakcji: 32-700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. 722-00-80-80, e-mail: w.bochenskie@wp.pl, bochniaci.pl@gmail.com. **Strona internetowa:** www.bochniaci.pl, prowadzi Stanisław Mróz. **DTP:** Stanisław Mróz, **druk:** Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32-800 Brzesko, ul. Czarnowiejska 1, tel. (0-14) 686-14-70, tel/fax: (0-14) 663-11-91, e-mail: biuro@drukarniabowa.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach np. korekta błędów, nadawanie lub zmianę tytułów itd., a także innych zmian, wynikających z zasad edytorskich lub kultury języka. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i tekstów.

Jan Krystyn Pinowski (Warszawa)

Wspomnienia przyrodnika z Wenezueli z lat 1978-1979 - cz. 3¹ Tłuszczaki

Wyjazd z Caracas do parku narodowego tłuszczaków

Kiedy w latach sześćdziesiątych XX wieku przygotowywałem audycję radiową dla dzieci o echolokacji u ptaków, marzyłem, żeby mieć nagrania głosów, którymi posługują się tłuszczaki (*Steatornis caripensis*) przy orientacji w ciemnościach



Tłuszczaki (*Steatornis caripensis*). fot. domena publiczna

jaskini. Moje marzenie miało się spełnić wiele lat później.

17 listopada 1978 roku wyjechaliśmy z Caracas stolicy Wenezueli bardzo wcześnie rano, by zdążyć przed zachodem słońca do Groty Tłuszczaków (*Cueva del Guácharo*) oddalonej ponad 1000 km na wschód już niedaleko Atlantyku. W grocie tej gnieźdzą się tysiące tłuszczaków, a o zachodzie słońca wylatują z niej by szukać pokarmu złożonego głównie z owoców palm. Musimy dotrzeć na miejsce przed zachodem słońca, żeby zdążyć przed wylotem ptaków z groty zwanej Grota Tłuszczaków (*Cueva del Guácharo*).

Tłuszczak występuje tylko w Ameryce Środkowej i Południowej, od Panamy po Brazylię i Peru. W grocie 12 kilometrów od miasta Caripe odkrył je dla nauki Humboldt w 1799 roku. Indianom znane były one pewnie od tysiącleci jako tajemnicze ptaki, zamieszkujące nawet głębokie, całkowicie pozbawione światła partie jaskiń i jako źródło znakomitego tłuszczu. Do czasów naszego znanego ornitologa Sztolcmana² w Europie, bardziej niż ich biologię, znano anatomie tłuszczaków na podstawie okazów, które dotarły na Stary Kontynent w połowie XIX wieku. Natomiast, czym kierują się w zupełnych ciemnościach odkryto dopiero w 1953 roku.

Już te badania anatomiczne z połowy XX wieku wykazały dość odległe pokrewieństwo z *Caprimulgiformes* – lelkami. Również współczesna analiza białek jaj tłuszczaków potwier-

dziła to pokrewieństwo. Natomiast pewne cechy wspólne z sówkami są pewnie wynikiem konwergencji. Zewnętrzny wygląd tłuszczaków rzeczywiście przypomina lelki. Tłuszczaki mają rozpiętość skrzydeł sięgającą prawie jednego metra, a długość ciała 46 centymetrów. Sztolcman w swych *Szkicach Ornitologicznych* (1916) tak opisuje tłuszczaka:

„Dziób ma dość długi, mocno hakowaty, u nasady szeroki. Na krawędzi górnej szczęki wyraźny ząb przypomina podobne wycięcie u sokołów. Od nasady górnej szczęki wychodzi z każdej strony grupa długich i mocnych szczecin, promieniście jamę ustną okalających. Skrzydła ma długie i sztywne; ogon również długi, składa się z dość szerokich sztywnych sterówek, ułożonych w ten sposób, że tworzą rodzaj rynny, zwrócony krawędzią ku górze, a wgłębieniem ku dołowi. Nogi krótkie i słabe o czterech palcach wolnych (a nie częściowo zrosniętych jak u lelków), przy czym kciuk (palec tylny) zwraca się dość znacznie ku przodowi. Ogólne ubarwienie tłuszczaka jest brunatno-kasztanowate, na wierzchu upstrzone nieco

ciemniejszymi, falistymi pręgami. Ogon przecina 10 szerokich, ciemniejszych pręg, sam rąbek sterówek jest biały”³

Sztolcman opublikował swoje obserwacje po polsku i po francusku. Była to pierwsza po Humboldtzie większa rozprawa o biologii tego arcyciekawego gatunku ptaka, szeroko cytowana do chwili obecnej.

Tłuszczaki gnieźdzą się w jaskiniach najczęściej poza zasięgiem światła dziennego. Gniazdo o średnicy około 40 centymetrów umieszczają w zagłębieniach ścian jaskiń, gzymdach. Brzeg gniazda zbudowany jest z wymiotowanych przez ptaki pestek spożywanych owoców, sklejonych również wymiotowaną półpłynną substancją. Ta sama para używa gniazda przez wiele lat, póki pod ciężarem własnym i dorastających piskląt nie zsunie się ono na dno jaskini. Brzegi takiego starego gniazda mogą być wysokie. Na wyspie Trinidad, gdzie David William Snow szczegółowo badał biologię tłuszczaków, gnieźdzą się one z wyjątkiem października i listopada przez cały rok. Najwięcej lęgów rozpoczyna się w marcu, w kwietniu i w maju. Wielkość zniesienia wynosi 1–4 jaja, średnia z 59 gniazd wynosiła 2,7 jaja. Kolejne jaja w tym samym gnieździe znoszone są w różnych odstępach czasu wynoszących od dwóch do siedmiu dni. Obie płcie wysiadują jaja od momentu ich złożenia przez 32–35 dni. Rozwój piskląt trwa bardzo długo, bo aż 88–125 dni, lecz 3/4 piskląt wylatuje po 100–115



Wylot jaskini tłuszczaków. Fot. domena publiczna.

dniach. Jedyne kondor kalifornijski (*Gymnogyps californianus*) ma dłuższy okres rozwoju piskląt. Pisklęta tłuszczaków mają ogromną ilość tłuszczu i to właśnie z nich Indianie wytapiali tłuszcz. Tłuszczaki cały dzień spędzają w jaskini. W miarę tego jak się ściemnia, zataczając kręgi, zbliżają się do wylotu jaskini.

Tłuszczaki żywią się prawie wyłącznie owocami drzew zbieranymi wprost z gałęzi. Doktor Snow przebadał 120 tysięcy pestek zwymiotowanych przez te ptaki. Z tego było 60 tysięcy pestek ośmiu gatunków palm. Zbierają one pokarm możliwie blisko swych jaskiń, ale odbywają wędrówki za pokarmem nawet na odległość 50 kilometrów. Perykarp owoców zjadanych przez tłuszczaki zawiera stosunkowo bardzo dużo tłuszczu (20–40 procent) oraz białek (5–14 procent). Dla porównania jabłka czy figi mają śladową ilość tłuszczu i 2–5 procent białek. Zaslugą naszego ornitologa Sztolcmana było odkrycie, że tłuszczaki wydalają niestrawione pestki owoców przez dziób, a nie, jak dawniej sądzono, z kałem, co zaobserwował Sztolcman i tak opisał owo odkrycie:

„Funk utrzymywał, że ptaki pestki trawią, Cross zaś twierdził, że pestki całkowicie przez kiszkę wychodzą. W czasie, gdy bawił w Huambo, przyniesiono pisklę, wyjęte z gniazda. Brzuch mu ciężki widocznie, gdyż jest to właśnie zbiornik owego aceite, oliwy, o którym wspomina Humboldt. Młode tłuszczaki mają być wyśmienite do jedzenia i w tym celu właśnie przyniesiono mi wspomniane pisklę. Postanowiłem zrobić próbę i dałem memu tłuszczakowi jagody nektandry. Każdą jagodę żuł naprzód przez chwilę, po czym ją połykał. W pół godziny potem, znalazłem przed moim tłuszczakiem trzy zupełnie z miąższu obnażone jagody nektandry. Wydaje mi się, że ptak przez te pół godziny nie zmieniał pozycji, a jednak pestki leżały przed nim. Przyszło mi wtedy na myśl, że może ptak wyrzuca gębą ogołoczone pestki. W kilka minut znów pestka pojawiła się w dziobie; tym razem pożył i wyrzucił. W ten sposób wyrzucił w ciągu pół godziny wszystkie 14 pestek. Oczy mi się otworzyły”.

Grube pokłady pestek w jaskini są specjalnym środowiskiem dla zwierząt jaskiniowych, jak na przykład podobnej do chomika karłowatej leśnej (*Heteromys anomalus*), ciem i karaluchów.

Dla ochrony tłuszczaków utworzono w Wenezueli dwa parki narodowe. W 1969 roku powstał Parque Nacional Cueva de la Quebrada del Toro o powierzchni 8500 hektarów w rejonie środkowowschodniej Wenezueli (granica stanu

Falcón i Lara), a w 1975 roku – Parque Nacional Cueva del Guácharo obejmujący obszar 15 500 hektarów, w tym i samą jaskinię Guácharo liczącą 181 hektarów. Park ten obejmuje rejon Kordyliery Wschodniej zwany Macizo Oriental, na pograniczu stanów Monagas i Sucre, z kilkoma szczytami, jak Cerro Negro, Cerro Papelón i Cerro Periquito. Poza ochroną samej jaskini i zamieszkujących ją tłuszczaków celem parku jest ochrona kilku zespołów lasów górskich wraz z rzadkimi gatunkami ssaków, takimi jak tapir amerykański, pekari białobrody, mulak białoogonowy, paka nizinna, mazama ruda, wyjec rudy, jaguar, ocelot wielki, puma.

Jesteśmy na czas, jest jeszcze zupełnie widno. Z kilkudziesięciometrowej wysokości wylotu jaskini zwisają stalaktyty. Wchodzimy do jaskini ze słabym światłem lampy gazowej. Nad naszymi głowami rozlegają się ostre chrapliwe głosy „krie-krie” oraz klaszczące tek-tek-tek”. Chmary ptaków krążą nad nami, siedzą na gzymsach skalnych, a na nasze głowy spada deszcz kału. Tworzy on na dnie jaskini szczególną ślizgawkę. Co chwilę o nasze nogi uderzają karłowate myszy. Część z nich ma sparaliżowane kończyny. O twarze objają nam się wielkie karaluchy i ćmy. Liczba zwierząt wzrasta w pobliżu stosów pestek, niekiedy metrowej wysokości. Droga staje się coraz trudniejsza. Wracamy po przejściu 500 metrów. Wspinając się na pokryte kałem i błotem kamienie, Agnieszka kaleczy sobie nogę, a nad nami krąży coraz więcej tych dziwnych stworów. Tłuszczaki krążą już nawet u wylotu jaskini. Jest godzina 18.15, szybko zapada zmrok. Kiedy ciemność nocy zlała się z ciemnością wylotu jaskini, tłuszczaki niby wielka rzeka wylatują na zewnątrz. Wróciliśmy do oddalonego o kilka kilometrów hotelu Guácharos. Przed wyjazdem lekarze radzili nam, aby po wyjściu z jaskini zniszczyć całe ubranie łącznie z butami. Podobno łatwo nabawić się tam myksomatozy lub innych chorób. Włożyliśmy najgorsze łachy, bez żalu wrzucamy je teraz do kosza, a prysznic zmywa z naszej skóry resztki guana tłuszczaków.

Jaskinia Guácharo jest teraz bardzo sławna i odwiedzają ją corocznie tysiące turystów, w 1976 roku przybyło ich tu 60 tysięcy. Światło elektryczne oraz błyski fleszy płoszyły wrażliwe tłuszczaki i ich liczba zaczęła gwałtownie się zmniejszać. Dlatego zlikwidowano światło i wprowadzono zakaz wnoszenia jakichkolwiek aparatów fotograficznych. Jedyne za zgodą ministra ochrony środowiska można robić zdjęcia w jaskini. Udało nam się na godzinę przed zapadnięciem zmroku zostawić magnetofon u wylotu jaskini i w ten sposób zapisaliśmy ich niesamowite głosy. Od czasów odkrycia tłuszczaków przez Humboldta badaczy interesowało, jakimi zmysłami posługują się te ptaki, aby orientować się w jaskiniach tak ciemnych, że nawet rozwinięty film fotograficzny może w nich leżeć długi czas, nie ulegając wywołaniu. Tysiące ptaków lata w ciemnych korytarzach, nie rozbijając się ani wzajemnie, ani o wiszące stalaktyty czy ściany jaskini. Dopiero w 1953 roku Amerykanin, D. R. Griffin, odkrył, że tłuszczaki, podobnie jak nietoperze, posługują się echolokacją. Częstość drgań ich fal wynosi dziewięć tysięcy na sekundę (u nietoperzy jest to około 20 tysięcy). Dlatego tłuszczaki wykrywają tylko duże przedmioty, takie jak drugi ptak czy ściana jaskini, ale cienkiej nitki nie odnajdą, bowiem takiej długości fale ugną się nie odbijając się od niej. Czy tłuszczaki posługują się echolokacją poza jaskiniami w ciemności nocy – wciąż pozostaje niewyjaśnione. Orientacja przy pomocy wzroku również odgrywa

u tych ptaków ważną rolę, w tych oczywiście miejscach jaskiń, gdzie dochodzi wystarczająca ilość światła. Tłuszczaki mają dość dobry węch, co jest rzadkością wśród ptaków. Stwierdzono, że umożliwia im on identyfikację współmałżonka i młodych z małej odległości; przypuszcza się, że odgrywa również rolę w trafieniu do gniazda w ciemnościach, a także w znalezieniu pokarmu. Gniazda tłuszczaków nie zauważyliśmy w słabym świetle naszej lampy gazowej. Umieszczają je na gzymsach i w szczelinach skalnych, z reguły głęboko w jaskiniach, w całkowitej ciemności. Ściany gniazd tworzą wypłute pestki owoców. Zainteresowanie ludzi tłuszczakami było dawniej całkowicie odmienne. Od setek lat piskłeta tych ptaków eksploatowali Indianie, aby zdobyć tłuszcz. Posłużyć się cytatem ze *Szkiców ornitologicznych* Sztolcmana:

„Na zakończenie przytoczę opis rzezi tłuszczaków w grocie Caripe, jaki podaje Humboldt. Indianie – mówi ten podróżnik – wchodzą do groty „Guacharów” raz w roku, około św-go Jana, uzbrojeni w długie tyki, przy pomocy których zrzucają większość gniazd. Zabijają oni w tej porze tysiące młodych ptaków, gdy stare, jakby pragnąc obronić swe potomstwo, unoszą się tuż nad ich głowami, wydając straszne krzyki. Młode zrzucone na ziemię, są natychmiast patroszone. Brzuch ich jest wypełniony tłuszczem, tworzącym rodzaj kłębka pomiędzy nogami. Ta obfitość tłuszczu u ptaków owocożernych, wychowujących się w ciemności i pozbawionych ruchu przypomina sztuczne tuczenie wołów i gęsi. W porze, zwanej w Caripe zbiorem oliwy, Indianie robią sobie szałas z liści palmowych w pobliżu wejścia do groty. Spotkaliśmy tam jeszcze ślady tych szałasów. Tutaj na ogniu wytapiają krajowcy smalec z młodych, świeżo złowionych ptaków, zbierając go do naczyń glinianych. Tłuszcz ten znany jest pod nazwą maśła lub oliwy guacharów; jest on na wpół płynny, przezroczysty i bez-

wonny. Czystość jego jest tak wielka, że można go przechowywać dłużej niż rok, zanim zjełczeje. W klasztorze w Caripe mnisi nie używają innego smalcu, jak tylko z guacharów, a nie zauważyliśmy nigdy, aby nadawał on potrawom jakiś smak lub odor nieprzyjemny. Ilość zebranego smalcu nie jest bynajmniej duża w stosunku do olbrzymiej rzezi, jakie corocznie czynią Indianie w grocie. Zdaje się, że ilość butelek czystego smalcu nie przewyższa 150 do 160 (każda butelka mierzy 60 cali sześciennych), resztę, mniej czystą, przechowuje się w wielkich naczyniach glinianych. Ten rodzaj przemysłu krajowców przypomina zbiór tłuszczu gołębiego, jaki przed laty praktykowany był w Karolinie, gdzie napełniano nim kilka tysięcy beczek. Użycie tłuszczu guacharów w Caripe datuje się z dawien dawna, a misjonarze uregulowali tylko nieco sposób jego zdobywania”.

Do tej pory zresztą w wielu jeszcze rejonach Ameryki Południowej Indianie, na ogół nielegalnie, eksploatują w podobny sposób tłuszczaki.

Przypisy:

¹ zob. Wiadomości Bocheńskie R. 30/2018, nr 4 (118) s. 20-22 cz.1 i R. 31/2019 nr 2 (120) s. 31-32 cz. 2

² Jan Sztolcman (1854- 1928) polski ornitolog, podróżnik, działacz na rzecz ochrony przyrody

³ J.Sztolcman. *Czwarty Polak za Kordylierami*. Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1982.

Więcej wiadomości o tłuszczakach znajdzie czytelnik w książce autora: Jan Krystyn Pinowski: *Z ptakami przez życie autobiografia ornitologa ekologa* wydaną przez Muzeum i Instytut Zoologii PAN, 2018, Warszawa, 610 str. Książkę można nabyć u autora: j.pinowski@wp.pl

Władysław Kopacz

Wspomnienia z lat okupacji

Jesień 1939 r. i pierwsze konspiracje młodzieżowe.

(...) Jak do tej pory, na razie jest cicho, spokój i życie toczy się tak, jakby to było po jakichś wyborach i zmianą administracji cywilnej na obcą wojskową. Żydzi nadal mają swe sklepy z odzieżą, obuwiem, żelazne, a nawet i knajpki czy cukierenki, z tym, że szyldy mają napis „Judisch Geschäft” co można było zrozumieć jako „żydowski interes”, albo żydowski sklep handlowy. Różnie to nam wyjaśniano. Natomiast sklepy polskich właścicieli oznaczane były jako „Arisch Handlung”, „Katholisch Geschäft” i nigdzie nie było jasno określone, że to polski lub sklep Polaka.

Bo (aryjski) arisch to tak trochę załatywało nam wówczas jakby Niemcy chcieli powiedzieć „nie polskie, a obcokrajowca”. Już ten fakt postawił nas na nogi i obudził z letargu, bo coś tu jest nie dobrze.

Z tego to względu, podejrzewając coś ukrytego, nie poszedłem się rejestrować jako wojskowy.

Na razie też nigdzie nie wychodziłem z domu, poza pierwszym pójściem do kościoła i ewentualnym spotkaniem się z kolegami. Należy też pomyśleć o jakiejś pracy. Nikogo ze

znajomych nie spotkałem, by zasięgnąć zdania, opini co będziemy robić.

O pracę bardzo trudno, jedynie do kopalni soli, przyjmują tylko starszych górników. Lecz gdzie i kto ma trochę znajomości, to do pracy się wkrci. Na przykład szewcy, krawcy już trochę w magazynach wojskowych pracują. Mnie nic się nie układa.

Z Mamą omawiamy jakość znalezionych rzeczy pochodzenia wojskowego, konserwujemy towotem bagnety, karabiny, lufy, amunicję i granaty – wszystko poukładane i za radą Mamy (schowane) w plewy po młotce pszenicy, a na wierzch warstewka gliny z plewami i trochę rupieci.

Pierwsze spotkanie z kolegami ze „Sokoła” odbyło się potajemnie i zorganizowane (było) przez moją Mamę. Po dość długiej pogawędce, kolega Tadek Imiołek, zaproponował nam, ażeby zorganizować „Koło muzyczne” i tam, gdzie będzie to możliwe, zarabiać na życie, a przy tej sposobności ja mam ich uczyć spraw wojskowych. I z takiej to zupełnie luźnej rozmowy, padło słowo „Ochotnicze Oddziały Zbrojne”. Zorganizujemy je, to nasz cel. I tak to się zaczęło.



Koło Muzyczne w Dołuszycach 1937 r. (wł. prywatna)

Jesteśmy sami swoi, znamy się od przysłowiowej kolebki (czyli kołyski i klasy szkolnej, bądź szlabanu „na Dębniku”, „na Skalce”, „pod Krzyżem”, „na Sikorkach” lub „Przydotkach”, „na Wsi”, „przy Szkole” „na Pagorku” itd. Te wszystkie określenia wskazywały miejsca, gdzie myśmy się spotykali, na przykład „w Kamieńcu”, „na Ostatnim Wale”, „na Łysej Górze”, „na Drożysku”, „za Górami” i na którejś „Grobli”, bo były trzy i „na Potoku”. Każdy wiedział o co chodzi i gdzie to jest.

Jak się okazało już na pierwszym spotkaniu, każdy z nas dokładnie znał karabin, umiał obchodzić się z karabinem, granatem, więc mnie pozostał temat

walki z wrogiem. Miałem trochę doświadczenia ze Lwowa, jak walczyć z Niemcami, więc nasze doświadczenie przenosiłem teraz na kolegów. Najważniejsze było, aby wroga mieć cały czas na przysłowiowej muszce i nie tracić go z oczu ani na chwilę. Celność była też przyswajana.



Nade wszystko wyrabialiśmy sobie cierpliwość, nerwy trzymaliśmy na wodzy. Szkolenie szło jak się nam wydawało bardzo sprawnie.

Część różnych zadań podzieliliśmy pomiędzy siebie, każdy wiedział co ma wykonać. Zachęciliśmy i naszych kolegów z miasta Bochni i z nimi odbywamy szkolenie. Ciekawe było to, że każdy z kolegów ze „Sokoła” lub ze „Związku Strzeleckiego”, doskonale władał bronią, bo tego „fachu” uczył się w koszarach wojskowych i w tak zwanym Przysposobieniu Wojskowym. Strzelnicę znaleźliśmy wszyscy i panią, która tam mieszkała również. Korzystaliśmy z całego wyposażenia tej strzelnicy z tarczami włącznie. Niemcy, jak dotąd tu nie zaglądali. Na wszelki wypadek uczyłem kolegów jak toczyć walkę, tę nowoczesną, jakiej „zasmakowałem” podczas obrony Lwowa przed Niemcami.

Koledzy szybko to pojmowali. Radowała się dusza z naszych postępów.

„Nie bądź głupi, nie daj się zabić” (mówiliśmy). Coraz częściej spotykamy się w różnych miejscach, omawiamy, w miarę dokładnie, czego kto nie rozumie. Wiele razy powtarzamy to samo. Nadal szukamy po dalszych wsiach znajomych kolegów, a przy tej sposobności może i coś się znajdzie. Dowiedzieliśmy się, że na południowych terenach naszego powiatu, nie było większych walk z Niemcami. A więc i broń tu nie znajdziemy. W naszych okolicach Wojsko Polskie



Władysław Kopacz oraz koleżanki i koledzy z „Sokoła”, Bochnia, maj 1939 r. (wł. pryw.)

jeszcze trzymało się wzorowo, może gdzieś był przypadek dezercji, o czym już wiedzieliśmy, ale poza tym poboju nie ma. W kilku wioskach dowiadujemy się, (ale skąd oni o tym już wiedzą!), że gdzieś tam powstają wojskowe organizacje: Polski Związek Powstańczy, Biały Orzeł. Wyczuwamy, że to w samej Bochni. Czasem można spostrzec, że młodszy koledzy ze „Związku Strzeleckiego” z „Sokoła” czy z „Przysposobienia Wojskowego” zbierają się grupkami, ale też „Kadeci” i my ze Szkół Podoficerskich Piechoty, Lotnicy i z „Hufca Studenckiego” i jeszcze wielu innych organizacji społecznych.

W domu bywam sporadycznie, bo i do Krakowa należało się wybrać. Są już sygnały, że tworzą się większe stowarzyszenia konspiracyjne.

I tak pomału zbliżało się Boże Narodzenie 1939 roku.

Egzekucja pod Uzbornią

Byłem akurat w domu, gdy któraś z naszych sąsiadek przyniosła taką wiadomość: w nocy ktoś napadł na posterunek niemieckiej Feldpolizei – żandarmerii wojskowej. Są zabici, podobno major, porucznicy i inni z tego posterunku. W mieście pełno wojska niemieckiego, czołgi, samochody pancerne. Jest i wieść następna, że kogoś z Polaków w rynku powiesili Niemcy, że wisi na latarni, że dwóch, a nie jeden, bo drugiego Niemcy zastrzelili koło kościoła, że Niemcy biorą zakładników, samą inteligencję bocheńską i podobno mają ich rozstrzelać¹.

Z innych wieści wiemy, że ktoś tam Niemców uprosił i zamiast inteligencję, będą rozstrzeliwać wszystkich. Są już wiadomości, że księdza prałata, lekarzy, profesorów z gimnazjum, adwokatów, nauczycieli i kilku oficerów WP mieli podobno wypuścić, a aresztują tych bezrobotnych, biedotę bocheńską.

Gruchnęła i wiadomość, że wszystkich już aresztowali i podobno zaprowadzili do „Lasku” - parku miejskiego, że Żydzi już tam kopią doły. Na te wszystkie wiadomości, jakie z miasta napływały, już nie wytrzymałem i poszedłem to wszystko sprawdzić.

(...) Tę tragiczną scenę zapamiętałem na zawsze. Słyszałem całe serie z karabinów maszynowych, ludzi i Niemców nie widziałem. Poszedłem w inne miejsce i stąd, chociaż było ponad 300-400 m widziałem sylwetki żołnierzy niemieckich i ogień z ich karabinów. Czasem słyszałem krzyki.

Szybko się zdecydowałem i okręzną ulicą, a potem przez pola i łąkami wróciłem do domu. Zanotowałem to wszystko, co zobaczyłem. Gdy ojciec przyszedł po pracy w kopalni soli,



18.12.1939 r. Egzekucja pod Uzbornią. Oryginały zdjęć znajdują się w IPN, w Warszawie. Liczne kopie rozpowszechniane były w zachodniej prasie, książkach i na wystawach.

z miejsca mi powiedział „Władek spalił to wszystko. Nie daj Bóg, aby się przypadkiem ujawniło coś napisal.”

Następnego dnia uczyniłem tak jak mi ojciec polecił. Może i ma rację, bo młodsze rodzeństwo może to znaleźć. Czytałem wiele razy, aby wbić sobie w pamięć całe to ogromne bestialstwo niemieckie, ten mord na tyłu znajomych mi obywatelach miasta Bochni. Chwilowo nazwiska znałem tylko z plotek, a potem Niemcy ogłosili na afiszach nazwiska rozstrzelanych.

Podczas rozstrzeliwania zakładników w tym „Lasku” parku, gdzie zwykle odbywały się festyny, zabawy, biesiady na łące, a w słoneczne, niedzielne popołudnia miłe spotkania towarzyskie, zdarzył się cud, szczęśliwy zbieg okoliczności z Bożą pomocą. Właśnie w momencie, kiedy Niemcy kazali Żydom zasypywać w dołach pomordowanych obywateli Bochni, jeden mężczyzna z dołu wyskoczył i co sił dobiegł do brzegu lasku 10 - 15 m. oddalonego od dołu i potem wśród grubych drzew lasku umykał Niemcom, mimo, że ci spostrzegli ciekającego i całymi seriami z karabinów maszynowych za nim strzelali – umknął im w tym parku, a potem dzielnicą Uzbornia, wioską Kurów i dalej, jakby niesiony na skrzydłach aniołów. Cudem Bożym wykorzystał jedną możliwą na sto innych, bo tyle mieszkańców tego grodu przed nim zamordowano².

Byłe do wiosny

Sytuacja w Bochni była napięta. O podjęciu pracy nie było mowy. W domu też nie chciałem być ciężarem. Nie wiedziałem co począć, lecz mama od razu dodała mi otuchy „Władek, trzeba z nimi walczyć, aż do zwycięstwa. Wyczuwam, że ta wojna potrwa dość długo, może trzy, może pięć-sześć lat, ale walczyć musimy.”

Z Mamą omówiliśmy pewne sprawy konspiracyjne (już tak określane), gdy dowiedzieliśmy się, że z Polesia wrócił wujek Antoni, starszy brat mamy. Był w randze kapitana i służył w Łunińcu.

Z nim odbyła się dość długa rozmowa na temat obecnej sytuacji w kraju i ewentualnej możliwości walki z Niemcami. No a co z Ruskimi? Tego nie wiedzieliśmy. Jediną rozsądną i zgodną myśl jaką mieliśmy, to uchodzić na zachód do Francji.

Wujek tak nam obrazowo wyjaśniał. Jeżeli nasze regularne wojska nie zdołały oprzeć się Niemcom, to jakim cudem możemy podejmować walkę dziś jako cywile, przecież Niemcy nas wystrzelają.

Już wiedzieliśmy co się stało w Bochni. Za pięciu zabitych żołnierzy niemieckich, zginęło prawie stu naszych ludzi³. Zależało nam się nie należyć, ale mieć silną wolę. Będziemy walczyć !... tylko jeszcze nie nadszedł czas. Musimy zaczekać, co Niemcy uczynią na wiosnę, tak nam radził wujek. Teraz nie ma sensu, aby podejmować decyzję co do walki z Niemcami, bo skutki będą nieobliczalne.

Wujek Antek, jako doświadczony oficer WP, a wcześniej austro-węgierskiego, w randze kapitana radził nam tak:

„Bacznie przyglądać się dzieciom, czym się bawią, gdzie chodzą i co do domu znoszą, zapobiegać, aby je uchronić przed nieszczęśliwym wypadkiem (wiemy o co chodzi)

Wszystkie znalezione rzeczy pochodzenia wojskowego, dyskretnie lecz stanowczo dzieciom odbierać i magazynować.

Którzy dotychczasowi obywatele polscy, nagle stają się Niemcami, do jakich służb należą i jak się zachowują względem nas?

A na wiosnę zobaczymy jak to wszystko się ułoży.”

Uzbrojony w te wytyczne, następnego dnia miałem wyruszyć w świat. Stało się inaczej. I znów odrobina szczęścia. Akurat byłem w lesie i ze starszymi kolegami omawialiśmy jak rozwinąć naszą działalność utworzonych Ochotniczych Oddziałów Zbrojnych. Powyższą propozycję tych czterech punktów przyjęliśmy. Zimą musimy przeczekać. Z wiosną może będzie lżej. Miałem zamiar dokładnie ustalić (...), że (zorganizujemy) coś w rodzaju jednostki w sile kompanii.

Broni i amunicji, granatów, posiadamy na półtora plutonu czyli około 70 sprawnych karabinów z amunicją oraz bagnetów – to trochę za mało. Dla pozostałych kolegów musimy broń skądś wytrzasnąć, lecz skąd ? Myśli biegle w różnych kierunkach.

Kolegom powiedziałem, że muszę zniknąć na kilka dni, gdzie się udam, tego im nie powiedziałem.

Byłem bardzo niespokojny. Coś się wydarzy, ale nie wiem co. Koledzy mi doradzają odłóż tę podróż, może nie teraz. No właśnie, to jest to przecucie, ale co się stanie – nie wiem. A stało się.

Podczas mojej nieobecności w domu, przyszedli jacyś cywile i wypywali o mnie i o starszego brata. Pech czy szczęście ? Rozmowa mojej Mamy z nimi skończyła się, jak mi to potem opowiadała, że ja i mój brat Tosiek jeszcze nie wrócili. Niedomówienie – skąd, czy z wojny ? Mama lubiła czasem zbywać niektórych gadułów takimi niedomówieniami i zniechęcać ich do dalszej rozmowy.

Teraz był czas potrzebny, by mnie ostrzec, przybiegł brat Janek - 1 września 1939 r. miał wstąpić do Podoficerskiej Szkoły Piechoty dla Małoletnich w Nisku - tam nie zdążył, ale do lasu w porę zdążył i tym samym rozpoczął jakby szkolenie wojskowe. Opowiedział mi co w domu zaszło, szybko nazbieraliśmy trochę gałęzi i z powrotem ruszył do domu, by ci faceci widzieli, po co do lasu pobiegł.

Droga do Łapanowa.

Ja tymczasem już nie zwlekając ruszyłem przed siebie, bez śniadania, obiadu, a o kolacji już nie myślałem. Zdecydowałem się, by pójść do Kazka Piechnika w Łapanowie - Kobylcu, tak będzie najlepiej.

Znanymi mi i to bardzo dobrze leśnymi ścieżkami, z dała od gościńca, czyli drogi z Bochni do Łapanowa, aby przypad-

kiem nie napotkać Niemców, szedłem przed siebie. Zbliżała się noc, czyli już prawie zimowy wieczór. Chwilami się wahalem, czy rzeczywiście tam iść, ale to najbliższy mój kolega z jednej kompanii, obrońca Lwowa, tułacz i tak jak ja uciekł z bolszewickiej niewoli.

Po drodze wstąpiłem do rodziny dalekiej, ale zawsze rodziny pana generała Sosnkowskiego w Nieprześni. Mimo nocy, spotkałem kogoś z dworzan i tak od niechcienia napomknąłem, że byłem bardzo blisko we Lwowie i wiem z całą pewnością, że pan generał żyje. Tak – trochę zełgałem. Bo faktycznie, o tym, że był we Lwowie, tośmy wiedzieli, że był w Brzuchowicach, też o tym słyszeliśmy. Tak to sobie Jakby na wiwat powiedziałem, lecz dlaczego - sam nie wiem.

Po dłuższej chwili oczekiwania, zaproszony byłem do komnat dworu. Opowiedziałem co mogłem i w miarę najdokładniej i zgodnie z prawdą. Starsza pani i dwóch panów⁴ z pewną rezerwą przyjęło moje uwagi i z obawą czy czasem nie jestem podstawiony. Podziękowałem za poczęstunek mlekiem i dodałem, że muszę jeszcze dziś w nocy osiągnąć Łapanów. W dzień, nie mogę się pokazywać, chyba Państwo już słyszeli co wydarzyło się w Bochni ?

Ostrzeżono mnie bardzo delikatnie, dając mi do zrozumienia, że w Sobolowie, mogę wpaść do wody, nie trafiając na most, czyli w łapy Niemców. Dokładnie tak to rozumiałem. Jeszcze raz podziękowałem za miłą gościnę i ponownie się przedstawiłem, nadmieniając, że już u Państwa miałem zaszczyt w tych pokojach gościć, po wojskowemu, w ubiegłym roku i akurat na Boże Narodzenie. Zrozumieli wreszcie kim byłem. Przypomnieli sobie że to ja, tę panienkę ze zwichniętą nogą w strumyku z nartami znalazłem i na rękach aż tu do dworu przyniosłem. Zmieszali się, lecz ja opuściłem te progi tak samo, jak w roku ubiegłym, bez słowa więcej.

Szedłem ostrożnie, noc była bardzo ciemna, nieco mglista, zimno przejmujące do szpiku kości, ale krok za krokiem podążałem na południe. Nic ze sobą nie miałem. Psy skądś podleciały i ujadły dość głośno. Stałem w miejscu, czuję, że mnie obwąchują, ja nic, tylko stoję. Po czym zapanowała głucha noc, wszystko ucichło, ja nic tylko stoję, bolą mnie plecy i nogi się uginają i tak stałem aż do świtu, do porannej szarówki. Ta noc była okropna. Wreszcie idę dalej i już nie myślałem o moście na Stradomce, poszedłem połączyć w górę rzeki, pod znajomą kładkę. Poblądziłem, czy co ? Nie ma jej ? Przecież tu była, z całą pewnością. Rzeczkę Stradomkę przeszedłem po kamieniach i teraz na gościniec, bo nikogo nie widać i powoli pod górkę, skąd poza tym zбочem góry do Kobylca już niedaleko. Jeszcze tylko na szczyt i w dole będzie widać Łapanów-Kobylec.

Powitała mnie mamusia Kazka i jakby wyczuwała, że jestem bardzo zmęczony i zmarznięty, podała mi gorące mleko, to mnie orzeźwiło. Z Kazkiem zostaliśmy w izbie sami. Rozmowy idą jakby kolejno, jak wrócił do domu z tej tułaczki wojennej, co słycać tu w Łapanowie ? Niemców bardzo dużo i zeszlismy na nasz wojskowy temat. Mimo że Kazek początkowo nie dawał poznać po sobie, już wiedziałem, że temat się przyjął. Podsunąłem temat i już jasno mówię, że założyliśmy coś, co będzie się zwało Ochotnicze Oddziały Zbrojne. Istnieje już ta organizacja, a tymczasowy cel na zimę, to te cztery punkty. Kazek z radością przyjął tę zapowiedź. To podniosło go na duchu. On wojaczkę lubił. Dodałem, że nasz oddział zorganizowany jest na wzór naszej drugiej kompanii ze Szko-

ły Podoficerskiej Piechoty ze Śremu. Na razie tylko pluton, ponad 40 kolegów, młodych, sprawnych wojskowo. Organizujemy w Bochni dalsze plutony. Są tam Kadeci, Podchorążowie. „Podchorążówka”, „Sokół”, „Strzelec”, mają podobno już swoją organizację o nazwie „Biały Orzeł”⁵.

Domyślamy się, że ogólnie grupki te liczą ok. 400 członków samych byłych wojskowych.

Ale Kazek wyraził swe jakby zakłopotanie, jakby jakąś obawą, że jest nas stanowczo za dużo.

W razie „wsypy” i zdekonspirowania będzie tragedia. Za dużo naraz i w tym względzie miał rację.

Obawy z tak daleka, chociaż to ten sam powiat, przedstawiłem gdzie należało, ale w pierw pogadałem na ten temat z moim wujkiem Antkiem. Przyznał koledze Kazkowi rację. Podjęliśmy szybko stosowną decyzję – reorganizacja. Niektórym kolegom wmawiamy, że wszystko się rozleciało po tych wypadkach w Bochni. Następuje „rozmycie” organizacji, a tak sprawnie wszystko szło. Zaniechaliśmy spotkań po restauracjach, aby nie być obserwowanymi przez... ano nie wiadomo przez kogo?

Reorganizacja oddziału

Zmieniamy cel swych zamierzeń, organizujemy przerzuty na Węgry. Ostrzegamy wszystkich, by byli bardzo ostrożni i nie pokazywali się publicznie, za wyjątkiem pójścia do kościoła. Unikamy oficjalnych spotkań tak tradycyjnych na rynku bocheńskim. Od tej chwili inny system – zna się tylko trzech kolegów. Chociaż doskonale wiemy, kto kim jest, to udajemy, że się nie znamy. Nikt nikogo więcej nie zna, to nie mój kolega i cześć. A wyglądało to bardzo głupio, bo przecież razem chodziliśmy do tej samej szkoły, klasy, do „Sokoła”, „Strzelca”, czy należeli do gimnazjalnego Hufca – a tu tak od razu – nie swój. No, ale tak się stało. Ten mord Niemców na mieszkańcach Bochni posiał groźbę. To nie żarty z tymi germanami.

Do domu jeszcze nie wracam. Przez pewnego, a biednego człowieka przesyłam tylko pozdrowienia, że żyję, ale moja Mama miała, jak to się mówi „głowę na karku”... zawsze się umawiamy przez tego mężczyznę. Krążył po wsiach i znów dał mi znak. Nadeszła zima i to dość obfita w śniegi i mrozy. Nie dało się spać byle gdzie.

Spora grupka osób chce się wybrać na Węgry ale nie wszyscy mają narty. Pierwsza i bardzo poważna przeszkoda to brak wystarczającej ilości pieniędzy- dolarów USA. A druga ? To nie tędy, bo byle kto przez te góry nie przejdzie. Trzecia (przeszkoda) to zbyt słabo ubrani – zamarzniecie.

Część tej wycieczki jednak poszła w świat, a nam nic się nie ułożyło. Wróciliśmy do swego dzieła.

Gdzie zastały mnie Święta Bożego Narodzenia 1939 r. już nie pamiętam, w każdym razie nie w domu.

Koledzy przybyli do wioski, w której mieliśmy „spotkanie”. Część chce już rozpocząć walkę z Niemcami. Ćwiczymy na leśnych drożyskach atak na kolumny samochodowe Niemców. Podobno ktoś już zauważył, że taka kolumna nie ma więcej jak pięć samochodów. A ilu w nich żołnierzy? - oto pytanie. Przerabialiśmy tę ewentualność.

Był ciekawy pomysł, aby Niemców zaskoczyć na strzelnicy bojowej i tam zdobyć broń maszynową. Nawet od tego czynu byliśmy tak blisko i chyba by się powiodł, gdyby nie to, że było nas jedynie trzech. Wystarczyło podejść w dziesięciu

i po krzyku, ani jeden stary Niemiec nie podniósłby się z ziemi i nie dobiegł do złożonej w kozły broni. Sprawdzaliśmy to później na zegarku Mańka, bo on jeden miał zegarek na rękę. Niestety taka okazja już nam się nie nadarzyła.

Wszędzie zbieramy broń, gdzie tylko coś usłyszymy, że tam nocowali żołnierze. Wyniki są różne, ale nawet każda jej część będzie nam potrzebna. Niektórym osobom wyjaśniamy, że to my właśnie zbieramy tę broń na ogłoszoną przez Niemców wiadomość. Niektórzy wiedzą o co chodzi i chętnie oddają. Cała południowa część powiatu jest już trochę rozpoznana. Dostaliśmy też wiadomość, że bliżej Dunajca od Nowego Sącza aż do Tarnowa – tam można coś znaleźć. A jeszcze inny osobnik doradza nam, aby udać się bliżej Sanu lub pod Lwów.

Zima miała się ku końcowi, już czuć było wiosnę. Więc znów w las na ćwiczenia z bronią, nauka strzelania, rzucanie granatami, różne podchody, zwiady, ucieczki, okrążenia domów i krycie się, bo to jest najważniejsze. Narady i poufne instrukcje w małych grupkach, po pięciu, do dziesięciu najwyżej i to bardzo ciemną nocą. Czasem usta mieliśmy zawinięte lub oczy zasłonięte, by poznawać tylko swoich, po głosie rozpoznawać, po umówionych znakach itd.

Co tu dużo mówić, bo najważniejsze jest to, że nie mieliśmy co jeść. Bywało i tak, że przez dwa, a nawet i trzy dni nie mieliśmy, poza wodą, okruszyny chleba w ustach. Największym jakby świętem był dzień, w którym od jednej rodziny dostaliśmy miskę ziemniaków w łupinkach, bez soli, bo jej nie mieli. Ale w to miejsce z lasu przynieśliśmy sporą ilość gałęzi i szybko porąbali i już nas tam nie było, bo dowiedzieliśmy się, że to, o co nam chodzi, to już tutejsi byli pierwsi.

Na trasie gościńca do Limanowej opowiedział nam jeden mieszkaniec, że tu już przymierzali się „jedni”, by na kolumnę samochodową Niemców zacząć się. Brony kołcami do góry ustawili na zakręcie, by samochody najechały i wtedy im „łupnia dać”. Widzieliśmy ten zakręt. Pomysł wspaniały. Stąd ani jeden szwab by żywcem nie wyszedł. Lecz tenże mieszkaniec dopowiedział:

„Panowie, a co potem z wioską zrobią Niemcy? Spalą i wymordują. Zostawcie ten pomysł na później, jak Niemcy będą się stąd wycofywać.”

Jak do tej pory wszystko układało się znakomicie. Byliśmy tak pewni siebie, że najbliższa akcja uda się. Wśród nas prowadzących te szkolenia, byli sami frontowi: podchorążowie, podoficerowie, kadeci, lecz tylko ze szkół wojskowych i jak to się mówi „świeżo upieczeni”, no i oczywiście rezerwiści, nie przekraczający dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. To był jeden warunek, a drugi – musiał być kawalerem i nie jedynakiem, czyli rekrutowaliśmy się z rodzin wielodzietnych. Dobrze czy źle, ale tak wówczas ustaliliśmy.

Obliczyliśmy stan posiadanej broni, amunicji, bagnetów granatów i odpowiednio je zakonserwowaliśmy. Gdzie to jest schowane? Grobowa cisza po złożonej przysiędze. Tajemnica.

Tak, wiemy czym dysponujemy, lecz koledzy mówią, że być blisko siebie, niedogodnie w razie potrzeby.

Restauracja w rynku

Od czasu do czasu spotykamy się w Bochni, w nowo urządzonej restauracji, której właścicielem jest kapral - podchorąży. Tu odbywają się najbardziej poufne rozmowy. Byliśmy w kilku innego zdania. Stąd nie ma jak zwiać w razie wssypy. Tylko jedne drzwi i okno na rynek. Więc już ukazuje się pe-

wien rozłam. Coś to nie tak. Baczenie przyglądamy się żonie tego właściciela restauracji. Wokół niej kręci się nieznamy człowiek dziwnie się zachowuje. Przezornie unikamy tu schadzki, a w to miejsce wyznaczaliśmy sobie piwnicę w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim. Mieliśmy nieco szczęścia z przezorności, bo na taką naradę nie poszliśmy, jak nas upewniała żona właściciela restauracji, że zrobi libację czyli postawi dobre „Okocimskie” piwo.

Aresztowania

Aż „pękło koło”- alarm! Kogo możemy to ostrzegamy, dla niektórych już za późno. Są aresztowani: dyrektor Szkoły (Podstawowej) im. Brodzińskiego pan Michał Piotrowicz (Mój wychowawca z siódmej klasy), komendant, druh z „Sokoła” - Stefan Schram, obrońca Lwowa 1918/1919, Komendant Powiatowy „Strzelca” Tadeusz - Studziński wspaniały kolega, nieco starszy (ok. 30 lat).

Aresztowano Tadka Imiołka i Fredka Głoda z naszej wioski Dołuszyce, moich kolegów z „Sokoła” i ze „Strzelca” - Juszczaków, obu braci, kolegów: Hildebrantów (niemieckie nazwiska), komendanta druha z harcerstwa i jeszcze wielu innych z Karoska, Proszówek, Łapczycy czy Kolanowa. To są wioski, ale jakby dzielnice Bochni, bo przecież tu do szkół chodziliśmy – chodziliśmy razem.

Czy Niemcy już mieli wśród nas swoją wtyczkę? - trudno powiedzieć, bo wujek Antek, tak mi to następnego dnia wyjaśnił. Masowa nagonka Niemców i przymuszanie do wyjazdu na roboty do Niemiec, to tylko taka propaganda. Co się za tym wszystkim kryje – jeszcze nie wiem. Tych wyżej wspomnianych na pewno nie wywożą do Niemiec, lecz nie wiem gdzie, do więzienia? Pod pokrywką wywozu do Niemiec może kryją się inne nieprzyjemności, a po trzecie, jak Władku sam to zauważyłeś, Niemcy coś chmarami, dużymi jednostkami jadą i jadą za zachód, poza Kraków. Po co? Czyżby wojnę zakończyli? To do nich nie podobne. Coś się wydarzy i to w najbliższych trzech miesiącach.

I jak lawina, postępowały teraz aresztowania. Przypuszczano kto to zrobił. Domysły i domysły, ale okazało się, że jedna dotychczasowa aktywistka, działaczka sportowa i na ogół nawet lubiana dziewczyna wśród młodzieży dorastającej, jest „fokstrotką” czyli Volksdeutchem, światową Niemką.

Od tej pory coraz więcej obywateli Bochni, ogólnie cieszący się zaufaniem i poważaniem, teraz ujawniło się oficjalnie, że są Niemcami. To powiało po nas trupim chłodem.

Ujawnili się moi szkolni koledzy, (...) że są Volksdeutchemi. Niektórzy z nich przywdziali sobie niemieckie mundury: kolejarzy, pocztarzy, jakichś bliżej nie określonych jednostek w czarnych mundurach.

Gdy spotkałem Jurka Lohna, kolegę ze szkolnej ławy, razem siedzieliśmy w jednej ławce, ten mi oznajmił „Władek nie baw się w nic, bo będzie jeszcze wiele aresztowań, to tyle mogę ci powiedzieć”⁶. Puszczam wieść w miasto, ale już są liczne aresztowania byłych oficerów i podoficerów Wojska Polskiego. Zmuszają ich do wyjazdu do Niemiec na roboty, ale z rodzinami. Coraz więcej łupem Niemców padają wioska za wioską. Łapia i przymuszają w pierwszej kolejności młode panienki, dziewczyny ze wsi obeznane z gospodarką na roli, wokół bydła. Z mej wioski Dołuszyce nie pozostało już nic, cała moja rodzina ze strony babci już dokładnie zdziiesiątkowana, co dziesiątej koleżance cudem udało się uniknąć aresz-

towania i wywózki. Młodzi chłopcy stronią od wszystkich, by nie dać znać, że jeszcze tu mieszkają. W kościele zauważono brak młodzieży, same starsze babcie i dziadkowie.

Nadeszła już wiadomość z Oświęcimią, że pierwszy transport jest tam. Tadekowi Imiołkowi i Fredkowi Głodowi udało się tę wiadomość do domu nadesłać. Proszą o trąbki, mają grać w orkiestrze. A nawiasem mówiąc w tym obozie Auschwitz przeżyli, dzięki tym trąbkom, aż do wyzwolenia.

Popłoch był niesamowity. Trudno pojąć i zdecydować się co dalej robić. Moja rodzina ze strony matki, już pustkami tu świeci. Tylko najmłodsze rodzeństwo, trzyma się spódnicy mamy.

Na razie jeszcze nie wiemy, co jest przyczyną tak nagłej rozróby, jak to nazwalimy, czy jest jakaś wpadka, czy zdrada, czy zupełny przypadek tak masowego aresztowania i wywózki. Kojarzemy to sobie, że może to nie być przypadek, lecz celowe poskromienie tego miasta wraz z grudniową likwidacją posterunku niemieckiej policji, czy żandarmerii wojskowej. Ale za tamten napad, to Niemcy już się zemściłi.

W tym miesiącu, kwietniu, od samego początku dało się zauważyć ruch niemieckich jednostek wojskowych ze wschodu na zachód. Po drugie, te aresztowania i wywózka do Oświęcimią i po trzecie te przymusowe wywózki na roboty do Niemiec, jak na jeden miesiąc, to stanowczo za dużo. I po czwarte, jesteśmy rozbici i zdezorientowani co dalej? My nie wiedzieliśmy a Niemcy tak.

Wpadli do nas do domu jak zbóje. „Wo sind Männer -, los prenko szneler dalli, dalli los – schneller itd.”⁷

Lecz moja Mama umiała coś po niemiecku, jeszcze ze szkoły austriackiej, o czym mi potem opowiedziała: „ja do nich krzyknęłam - Was? Oni stanęli jak wryci i zgłupieli”. Sprawdzali jakąś listę, jedną, drugą, trzecią i coś tam szwargotali. W tym momencie do izby weszła starsza siostra mojej mamy, Maria i dalejże im klarować, gdyż umiała perfektnie po niemiecku Plattdeutsch⁸. Zostawili kartkę, że jak wrócę, mam się zgłosić na Feldpolizei, tak samo jak i brat Tosiek. Mama nie tracąc tupetu, pokazuje im kartkę ze Stallagu z Turynii. Zabrali tę kartkę i cześć, chwilowo spokój.

Następnego dnia znów przyszli. „Wo ist Sohn Władek?”⁹ Mama chyba już zdenerwowana na dobre podobno rzekła: „Jest w Rzeszy na robotach. Tu go nie ma.”

W tym samym dniu aresztowano mojego ojca jak wyjeżdżał z kopalni soli po szychcie, a podobno przed zakończeniem pracy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza dla mojej rodziny i to bezpośrednio, a tu nas cała gromadka rodzeństwa w domu i kto będzie się opiekował, jak ojca nie puszczać?

Aresztowali i innych górników – ojców tych chłopców, którzy podobnie jak ja, też byli w Wojsku Polskim i to na ochotnika. Ta wiadomość dotarła do mnie w Krakowie. Z panem majorem radzimy co dalej począć?¹⁰ Nic mądrego nie przychodzi nam do głowy. Radzą nam „uciekajcie za granicę” i to nie tylko o mnie chodziło. Jak my już tę melodię znamy! Nic z tego – brak dolarów. Już nam pewien góral dał do zrozumienia, że bez „dularów” będzie bida.

Inni podają „jedźcie do Niemiec na roboty, bo o pracę tu w Krakowie bardzo trudno. Pięknie to się mówi „jedźcie”, a przecież my na sumieniu mamy coś innego. Wszystko tak się kręciło, że aż i głowa bolała od tej sytuacji, a na dodatek w brzuchu burczało z głodu. Usiedliśmy z kolegą na krakowskich plantach, w pobliżu Teatru Słowackiego i co dla Pana

Boga mamy zrobić to wiemy. Idziemy do kościoła Mariackiego do spowiedzi i do komunii podczas mszy św. To przyniosło pewną ulgę na duszy, ale żołądek prosi i choćby o małą okruszynę chleba. A tu nic. Poszliśmy nad Wisłę i dalej medytujemy.

Decyzja o wyjeździe

Kolega mówi mi: „Władek! A co z tym wszystkim? Cała nasza praca idzie na marne. Niemcy systematycznie nas rozbijają to już widać. A może by tak...?” - i spojrział na mnie, ja na niego.

„Boże, już wiem o co ci chodzi” - rzekłem. Odwrotnie? Prawda, o to ci chodzi? „- uśmiechnął się kolega i już wiemy, nasz cel to „Niemcy”. Tam trzeba nam jechać, tam prowadzić też tę samą pracę - niepokój wśród Niemców. Tam ich załamywać, patrzeć na wszystko, słuchać i pamiętać.

Teraz rozpoczynamy od nowa naszą rozmowę, spokojnie, punkt po punkcie. Nagromadziło się tak dużo spraw do załatwienia. Wszystko było pilne. Idziemy ulicami Krakowa, sami nie wiemy dokąd, ale idziemy. Gdzieś tam, niedaleko Rynku i Sukiennic, spotkaliśmy znajomego i on też podsuwa nam myśl o pracy na terenie Niemiec. Wywiad? Jak to ładnie i zarazem bardzo niebezpiecznie brzmi. Skąd - naprawdę nigdy się nie dowiedziałem - w tym mieszkaniu, w pobliżu torów kolejowych, i to nocą, wziął się znajomy mi głos pana majora WP?

Przez niemal całą noc omawialiśmy w pokoiku i po ciemku, takim półgłosem, sytuację jaka obecnie zaistniała. Pan major klepnął mnie po ramieniu i mówi mi: „Panie Władku, przemyśleliśmy pańską i pana rodziny sytuację, jest bardzo ciężka. W wielu innych rodzinach być może są takie same, a może i gorsze okoliczności. Radziłbym „jedź pan i to najbliższym transportem do Niemiec, czyli jutro. Mamy tam lukę na dziesięciu, może pięciu się uda, a Bochnię zawiadomimy już dziś, że taki, a taki wyjechał dobrowolnie, na ochotnika, do Niemiec, na roboty. Że to jest Freiwillige - ochotnik.

Może ta cała sprawa w Bochni ucichnie i ojca pańskiego oraz innych górników zwolnią z więzienia. Spróbujcie panowie, musimy to wiedzieć jak policja niemiecka na te wieści zareaguje. To jest jakby doświadczenie. To nam tu w Krakowie będzie bardzo potrzebne. Poznacie sposoby życia Niemców, okolice, coś zapamiętacie, na przykład jakieś duże fabryki, rozkłady jazdy pociągów, a pan jest przecież sympatykiem lotnictwa, to i samoloty pana interesują. Każdy szczegół z Berlina będzie nam potrzebny. Zrozum pan - ktoś musi być pierwszy.

Do białego rana, miałem trochę czasu, to i z kolegą Józkiem trochę się zdrzemnieliśmy, a potem, na maleńką chwilkę wpadłem do rodziny, i ciocia z (ulicy) Zamenhofa, też mi radzi, że to pożyteczna inicjatywa.

W Imię Boże zdecydowałem się na wykonanie tego niby rozkazu na ochotnika. Był to początek czerwca 1940 roku. Jeszcze raz zebraliśmy się i dodatkowo omawiamy co początkowo jakoś nam uchodziło bokiem. Wojna na Zachodzie, we Francji. Belgia, Holandia, Dania i Norwegia – padają po kolei tak szybko, że aż strach brał o tym myśleć. Na co my się porywamy?

I w takiej sytuacji wojennej, my wybieramy się do Niemiec? Po jakiego diabła? Jeden z panów oficerów, jakby na uspokojenie mówi, że to jeszcze nie koniec, że Niemcy wojnę rozwiną i gdzie indziej, ale na ruskich to chyba nie uderzą, bo tam stępy za duże.

Skoro taka jest wizja na najbliższe lata, że Niemcy podbiją też inne państwa i nikt im się nie oprze, to będą zwycięzcami,



Władysław Kopacz 1945 r. (wł. prywatna)

kategori i obóz koncentracyjny, a może i śmierć. Ani tak, ani siak – niedobrze. Wybrałem raz i już cześć! Bez względu na to co się ze mną stanie – muszę ratować rodzinę i ojca. To najważniejsze. A druga część? To zależy będzie od Pana Boga i okoliczności jak to wszystko tam w Rzeszy się ułoży.

Z kolegą mam sporo spraw do załatwienia, że nie wiedziałem od czego zacząć. Wszystko było i pilne i bardzo ważne. O Kobylcu już nikomu nie wspominam, bo wierzę w to, że Kazek Piechnik da sobie sam radę. A co do mojej Mamy, to wierzyłem jak w Pana Boga, że tam Ona ma głowę na karku.

Był mały szczegół, może i mało ważny, ale postanowiłem, że do transportu na wywózkę do Niemiec, już sam zdecyduję bez niczyjej porady co i jak robić. Czasem intuicja jest potrzebna. Wyszliśmy przed dworzec PKP Kraków Główny i tu dołączyliśmy do jakiejś grupy ludzi, przeważnie dziewcząt prowadzonych na punkt zbiorczy. Jest nas znajomych kolegów sześciu. Komisja oglądając nas nago coś tam marudzi, bo nas nie ma na liście tego transportu. Dopisano nas, bo my ochotnicy.

Droga do Niemiec

W drodze na stację dowiadujemy się, że mamy jechać do fabryki koło Berlina, a po drugie, że Francja upadła. Po niektórych tu spotkanych Niemcach widać, jak się cieszą ze zwycięstwa nad Francją. A my? Pożal się człowieku do Pana Boga. Jeszcze podczas postoju pociągu na dworcu kolejowym – miałem wielką ochotę wyskoczyć z wagonu i zwać. Pociąg ruszył i do wagonu weszło kilku żołnierzy niemieckich, chyba nas konwojują. Po chwili, idą od przedziału do przedziału i sprawdzają nazwiska. Już za późno, żeby wyskoczyć.

Usiadłem przy oknie i patrzę na mijane przystanki i stacje. Ja znam tę trasę do Katowic. Jeździłem tędy do Śremu kilka razy; na gminy konkursowe, na urlop w 1938 roku, już jako wojskowy, potem na obóz ćwiczebno – szkoleniowy do Doliny i dalej, powrót do koszar wojskowych w Śremie to wszystko mijają mi przed oczami jak taśma filmowa. Rok temu to wszystko się działo a teraz? Aż wierzyć mi się nie chciało i z bólem serca mam taką nieprzyjemną podróż. Co za los! Trochę się zdrzemnąłem po minięciu Trzebini, ale już w Katowicach byłem ożywiony na dobre.

Tu też mam sporą porcję wspomnień, kiedy po odwołaniu mnie z urlopu przez komendanta Szkoły Podoficerskiej Piechoty nr 2 ze Śremu, tędy przejeżdżałem, to było na kilka dni

przed napaścią Niemiec na Polskę. Widzę ten ruch ludzi, płacz i lamenty żegnających się, ten gwizd lokomotyw – parowozów i to dziś słyszę.

Hej Władek wiesz co?, że nie jedziemy do fabryki, a na rolę. W sąsiednim przedziale te kobiety – dziewczyny lamentują, co robić, ano pokażcie nam te wasze *Transportausweise* czyli przepustki na przewóz, istotnie szybka decyzja i zamieniamy się z tymi dziewczynami. Jest jeszcze ktoś, kto ma jechać do fabryki? Sprawdzamy z tą listą, którą zostawił w przedziale wojskowy. Na razie cisza. Słyszymy, że pociąg do Berlina ma odjechać z innego toru. Przesiadamy się, a te dziewczęta zostają, więc do zobaczenia w Wolnej Polsce.

Po krótkiej chwili, już pociąg pospieszny rusza, a my w nim. Co tam się później stało, tego już nie wiemy. Przyszła jakiś inny cywil i liczy: „eins, zwei, drei.... gut, alles in Ordnung¹¹.”

Tak to prawda, że jest nas tylu ilu jest na liście, ale gdy dojeżdżamy do Gleiwitz – Gliwice to tu zrobiło się nam na duszy tak ciężko, jakby ołowiane kule na sercu leżały. Gleiwitz – Gliwice? !... i mrok zapadający pogłębił naszą dolę ku ziemi.

Jesteśmy już na Śląsku, ale po niemieckiej stronie, tu już nie słuchać polskiej mowy, jak w Katowicach, tam jeszcze była Polska. A tu? Germanie. Nie! To przecież Polski Śląsk, tylko, że pod okupacją. Pociąg dość szybko jedzie, jakaś stacja Heydebreck – Cosel, króciutki postój, dalej Gogolin, Groschwitz, Oppeln – to jeszcze ciągle Śląsk, Opole. W świetle lamp stacyjnych przyglądamy się temu dworcowi. Następna stacja to Brieg, potem Ohlau i Breslau...

Jak możemy, to sobie przypominamy nazwy tych polskich miast: Katowice, Gliwice, Kędzierzyn-Koźle, Gogolin, Groszowice, Opole ... Brzeg, Oława i ten polski Wrocław, a tu gdzieś i to słynne Psie Pole (Hundsfeld). I ostatnia nazwa to Glogau – ten słynny Głogów.

Jak umiemy, tak sobie sztukujemy minioną historię tych Ziemi Piastowskich, po czym już nas senność brała i drzemaliśmy, bardzo zmęczeni i solidnie głodni.

I w takim to stanie zdrowotnym i duchowym śpiąc mijaliśmy następne wioski i miasta, dwukrotnie też przejeżdżaliśmy przez rzekę Odrę i już o świcie, pociąg wjechał do bardzo dużego miasta, do gniazda hitleryzmu, do Berlina.

Powyższy tekst udostępnił nam do druku pan Wojciech Kopacz syn Władysława, który już od kilku lat współpracuje z redakcją „Wiadomości Bocheńskie”. Mimo że mieszka obecnie w Berlinie jest świadom związków rodzinnych z Ziemią Bocheńską poprzez ojca por. Władysława Kopacza rodem z Dołuszyc k/Bochni, a po 1945 mieszkańca Środy Śląskiej.

Przypisy:

¹ Tu dużo nieścisłości. Napad, w którym zginęło dwóch niemieckich żołnierzy, miał miejsce 16 grudnia 1939 r. Zginęli też dwaj młodzi napastnicy Jarosław Zygmunt Krzyszkowski i Ferdynand Piątkowski. Ich zwłoki powieszono, dla przestrogi, na latarni w rynku. Miasto miało też ponieść zbiorową odpowiedzialność. Odwetem była egzekucja 50 Polaków pod laskiem Uzbornia. Z miejskiego aresztu wyprowadzono 29 aresztantów, którzy przebywali tam za drobne wykroczenia. Dla dopełnienia liczby do 50 brano młodych ludzi z ulicy i z domów. Zatrzymano i też potem rozstrzelano dwóch Żydów, którzy mieli wykopać zbiorowy grób.

² Z miejsca egzekucji udało się zbiec Zygmuntowi Wilgociemu rodem ze Zbydniowa, ale okoliczności tej ucieczki były inne niż podaje Wł. Kopacz. Do ucieczki poderwał się również drugi ze skazanych, ale został zastrzelony na miejscu.

³ Ostatecznie po ucieczce Wilgockiego, pod laskiem Uzbornia rozstrzelano 49 Polaków oraz dwóch Żydów.

⁴ Właścicielami dworu w Nieprześni byli państwo Sękowscy

⁵ Według informacji szefa Wywiadu AK kpt. Juliana Migdała Organizacja „Orzeł Biały” nie istniała, co nie wyklucza, że jesienią i zimą 1939 r. był zamiar jej utworzenia.

⁶ Jerzy Lohn, syn nauczyciela szkół podstawowych w Bochni, mimo, że miał niemieckie pochodzenie był lojalny wobec Polaków i życzliwy.

⁷ „Gdzie są mężczyźni? Raz, dwa, szybciej! Naprzód !”

⁸ tak określany jest niemiecki dialekt używany w Północnych Niemczech

⁹ Feldpolizer – żandarmeria wojskowa.

¹⁰ „Gdzie jest syn Władek?”

¹¹ Niestety Wł. Kopacz nie podaje nazwiska w/w majora WP

¹² „raz, dwa, trzy, dobrze, wszystko w porządku”

Stanisława Szewczyk

Wspomnienie przedwojennego Kolanowa

Historia moja i mojej rodziny związana jest z Kolanowem. Tutaj urodziłam się w 1924 r. i mieszkam do dzisiaj. W latach przedwojennych Kolanów był jedną z mniejszych miejscowości należących do Gminy Bochnia. Według spisu powszechnego z 1931 r. powierzchnia ogólna Kolanowa wynosiła 3,44 km, we wsi było 91 budynków mieszkalnych i zamieszkiwało 601 osób. W Kolanowie nie było nigdy kościoła i parafii ani żadnej szkoły. Należeliśmy do parafii Św. Mikołaja w Bochni, a do szkoły uczęszczaliśmy do Bochni. W roku szkolnym 1931/1932 z Kolanowa do szkół w Bochni uczęszczało 137 dzieci. Ludzie w większości żyli z pracy najemnej, a tylko 5-ciu gospodarzy utrzymywało się z rolnictwa, mieli po kilka hektarów ziemi. Mieszkańcy Kolanowa w tamtych czasach zatrudnienie znajdowali najczęściej w Kopalni Soli w Bochni, na kolei, w Fabryce Naczyń Kamionkowych Henryka Münzera i Cegielni. Niektórzy zajmowali się też drobnym rzemio-

łem, było kilku: ślusarzy, kowali, szewców, cieśli, krawców i stolarzy.

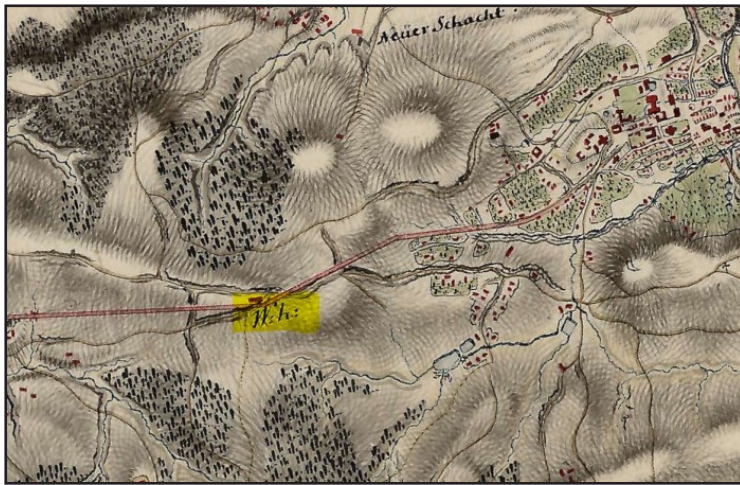
Dom w starej karczmie

Kiedy miałam 5 lat w 1929 r. rodzice kupili dom mieszczący się przy tzw. „gościńcu” (obecnie ul. Brodzińskiego) od Żyda pana Arona Kühna. W sporządzonym przez Sąd Grodzki w Bochni kontrakcie kupna sprzedaży - z dnia 29.11.1929 r. zapisano, że: „Aron Kühn sprzedaje swe realności wraz z wszelkimi prawami i przynależnościami w szczególności z domem z werandą w części starym a w części nowym, studnią, częściowym ogrodzeniem i wszelką drzewiną oprócz dwóch drzewek śliwowych i jednego orzecha zdatnych do przesadzenia”.

W przeszłości w budynku tym mieściła się kolanowska karczma. Pamiętam to z opowiadań mojej mamy. Umiejsco-



Widok Bochni ze wzgórza w Kolanowie, rejon Nowego Światu, 1933 r. Zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego



Karczma w Kolanowie na mapie z lat 1779-1783 (wyróżniona na żółto)

wienie budynku, jego budowa oraz rzeczy znalezione wokół domu świadczyły o jego dawnej historii.

Dom położony był przy drodze wjazdowej do miasta, blisko skrzyżowania z dawnym szlakiem handlowym Via Regia, w tamtych czasach nazywanym „górnym gościńcem” (obecnie jest to skrzyżowanie z ul. Nowy Świat). Był to duży drewniany dom długości około 16 m i szerokości ponad 10 m, dach miał pokryty papą. Budynek w wyniku pożaru został częściowo zniszczony, a później odremontowany, ale na belkach pod dachem pozostały widoczne głębokie nadpalenia. Składał się z dwóch części starej i nowej połączonych biegnącą przez całą długość domu szeroką sienią. W starej części od północy była ogromna kuchnia z glinianym piecem i dwoma oknami z widokiem na gościniec. W czasach, kiedy była tu żydowska karczma ta ogromna kuchnia pełniła prawdopodobnie funkcje szynkowej izby.

W części południowej był tylko jeden długi pokój. W drugiej - nowszej części domu rozkład pomieszczeń był odwrotny, od strony południowej znajdowała się kuchnia, a od północnej strony był jeden duży pokój. Przez sień przechodziło się na drewnianą werandę otoczoną rozrośniętym krzewem winogronowym. Mieliśmy dwie studnie, jedna znajdowała się wewnątrz domu w piwnicach pod pokojem, a druga na zewnątrz domu przy samym gościńcu. Ta znajdująca się wewnątrz domu w piwnicach była bardzo stara. Miała drewniana obudowę, otwór przykryty kilkoma deskami, bez wyciągu do wiader. Od dłuższego czasu była nieużywana. Cembrowina pokryta była mchem i zupełnie zzieleniała.

Podczas prac ogrodowych w przylegającym do domu ogrodzie, a także wokół domu, często znajdowaliśmy zasypane w ziemi drobne, miedziane monety. Miedziaki były bardzo zniszczone, ale czasami posiadały widoczne daty wybitcia. Na pamiątkę zachowałam jedną z nich, jest to austriacka moneta „1 Kreuzer” na awersie rok wybitcia 1851. Najstarsza znaleziona moneta, którą udało się rozpoznać była z 1754 r., z opisem na rewersie Patrona Bavariae. Przypuszczalnie monety zostały zgubione przez odwiedzających karczmę. Wszystkie, które zachowały się w lepszym stanie, zostały przekazane do Muzeum w Bochni.

Bocheńscy kawalerzyści

Mieszkaliśmy w starszej części budynku, a nową część mama wynajmowała lokatorom Państwu Olechnowiczom, którzy mieszkali z nami do czasu wojny. Pan Olechnowicz był podoficerem Wojska Polskiego 5 Dywizjonu Taborów stacjonującego w koszarach przy ul. Kazimierza Wielkiego Państwo Olechnowiczowie mieli do dyspozycji ordynansa – szeregowego żołnierza dochodzącego z koszar. Żołnierz pomagał w codziennych czynnościach związanych z utrzymaniem domu np. czyścił buty, trzepał dywany, nosił zakupy. Chwalił bardzo swojego przełożonego i jego żonę, że są porządnymi ludźmi i traktują go bardzo dobrze w porównaniu do innych oficerów. Państwo Olechnowiczowie rzeczywiście byli dobrymi i życzliwymi sąsiadami. Bardzo lubili dzieci, mnie i mojego brata często zapraszali do siebie na słuchanie radia, które było zupełną nowością w okolicy. Radia można było słuchać wyłącznie przez słuchawki i tylko jedna osoba mogła je nałożyć. Często słuchaliśmy nas słodocznymi, a czasem nawet pomarańczami i mandarynkami.

Koszary kawalerii Wojska Polskiego zajmowały dużą powierzchnię pomiędzy ul. Kazimierza Wielkiego a ul. Krakowską. Przy ul. Krakowskiej w obecnym budynku szpitala powiatowego mieściła się oficerska kantyna wojskowa. Wojsko zajmowało też budynki obecnego Zespołu Szkół Nr 3. Tereny jednostki sięgały aż do ul. Kazimierza Wielkiego (obecnie jest tam wybudowana po wojnie w latach 50-tych Szkoła Podstawowa Nr 5), był tam ogromny plac ćwiczeń do ujeżdżania koni i zabudowania gospodarcze. Wracając z rówieśnikami ze szkół w Bochni często zatrzymywaliśmy się przy ogrodzeniu koszar i podziwialiśmy piękne konie i jeżdżących na nich wojskowych. Konie były bardzo zadbane, błyszczące, chyba codziennie szczotkowane przez rekrutów. Pan Olechnowicz i inni wojskowi ćwiczyli skoki na koniu przez przeszkody. Był to przepiękny widok, wspaniałe konie z wdziękiem i elegancją pokonywały przeszkody.

Pamiętam, że w koszarach odbywały się zawody sportowe. Raz do roku moja mama na prośbę pana Olechnowicza brała udział w tych zawodach. Zawody były na czas, kto szybciej dotrze do mety z igłą nawleczoną nitką. Zadaniem kobiety było jak najszybsze przeciągnięcie nitki przez igłę a wojskowy jadąc na koniu, w pełnym biegu musiał odebrać tą igłę i jak



Kawalerzyści z V Dywizjonu Taborów w Bochni

najszybciej dojechać do mety. Pomoc mojej mamy chyba była skuteczna, bo Pan Olechnowicz po zawodach zawsze dziękował za zajęcie dobrego miejsca.

Krajobraz dawnego Kolanowa

W tamtych czasach większość domów w Kolanowie była drewniana, pokryta papą, ale było też kilka krytych słomianą strzechą. Było też kilka nowych domów murowanych. Najbliżej nas, po drugiej stronie ulicy (wówczas nazywanej Nowym Światem) stał duży piętrowy z poddaszem budynek, w którym przed wojną miał swoją siedzibę Urząd Gminy Bochnia. Sekretarzem Gminy był wówczas pan Stańczewski. Dom ten prawie w niezmiennym stanie przetrwał do dnia dzisiejszego.

Gościniec, przy którym mieszkaliśmy, był główną drogą pomiędzy Krakowem a Przemyślem. Droga pełniła ważną rolę komunikacyjną międzymiastową, ale też tranzytową - międzynarodową. Pomimo tak dużego znaczenia komunikacyjnego, droga była w kiepskim stanie technicznym. Nawierzchnia została tylko częściowo utwardzona kamieniami, nie było wydzielonych poboczy. Na drodze panował duży ruch. Z daleka słychać było stukot końskich kopyt i odgłosy stalowych obręczy drewnianych kół wozów gospodarczych - furmanek. Czasem przejeżdżały też zaprzężone w dwa konie eleganckie dorożki, bryczki i powozy. W bezwietrzne i suche dni nad drogą unosiły się tumany kurzu.

W dzień targowy – czwartek od świtu do późnego południa przejeżdżały końskie furmanki załadowane węglem, drewnem, do sprzedaży lub zakupionym na targu bydłem i trzodą chlewną. Gospodarze wozili też zboże, ziemniaki oraz części do maszyn rolniczych. Na furmankach często jechały kobiety trzymające na kolanach kosze z nabiałem, wiozły też dzbanki z mlekiem i kosze z drobiem. Dziesiątki furmanek chłopskich podążało tą drogą na targ do Bochni. Dużo osób chodziło też pieszo z okolicznych wiosek i Kolanowa do miasta na jarmark.

Głównym środkiem lokomocji były wówczas furmanki końskie, ale zdarzało się też, że drogą przejeżdżały pojedyncze samochody osobowe mocno dymiące na biało, z trudem wyjeżdżające na wysokie wzniesienie drogi. Po pokonaniu najwyższej góry prawie wszyscy zatrzymywali się pod naszą studnią stojącą przy drodze i nabierali wody do chłodnicy. Największą wówczas atrakcją dla nas był przejeżdżający 2 – 3 razy w tygodniu jedyny w okolicy samochód księdza proboszcza z Chełmu (czarny prawdopodobnie Ford). Mój brat często przybiegał zmęczony do domu i opowiadał mamie, że z kolegami pchali pod górę samochód księdza. Byli bardzo ucieszeni, że mogli dotknąć tego luksusu, jakim był wówczas samochód. W tamtych czasach samochody osobowe i ciężarowe należały do rzadkości a ich pojawienie się na drodze budziło prawdziwą sensację wśród mieszkańców. W samej Bochni w latach przedwojennych zarejestrowanych było tylko kilka samochodów.

Przez Kolanów droga biegła przez trzy wysokie wzniesienia. Pierwsze przy obecnej ul. Armii Krajowej, drugie najwyższe pod naszym domem (obecnie naprzeciwko

wjazdu na ul. Nowy Świat), trzecie wzgórze to obecnie początek biegnącej w dół na południe ul. Kolanowskiej. Najniższej położona była ul. Wiśnicka i pozostała do dziś na tym samym poziomie. W latach okupacji Niemcy częściowo zniwelowali teren drogi, zmniejszono wzniesienia i podwyższono doliny. Parcele położone bezpośrednio przy znacznym zmianie poziomu drogi zabezpieczono murami oporowymi z kamieni. Po wojnie dalsze prace przy modernizacji drogi prowadzone były w latach pięćdziesiątych.

W Kolanowie były dwa naturalne stawy. Jeden mały w pobliżu naszego domu (obecnie ul. Nowy Świat), kształtem przypominał koło o średnicy około 6 m. Naokoło stawu rosły 4 stare bardzo duże wierzby. Zimą zamarzał i stanowił dla blisko mieszkających dzieci dużą atrakcję – ślizgawkę na łyżwach. W domu mieliśmy z bratem tylko jedną parę łyżew i sprawiedliwie dzieliliśmy się nimi po jednej dla każdego. Jeździliśmy więc tylko na jednej łyżwie i była to dla nas ogromna frajda.

Drugi duży staw znajdował się w środku Kolanowa (obecnie mieści się tam budynek świetlicy osiedlowej). Przez staw ten przepływał potok Babica mający początek w pobliskim lesie Kolanowskim. Staw ten pełnił funkcje gospodarcze, był wykorzystywany do hodowli ryb – karpia. Stanowił własność Gminy, a dzierżawiony był przez Żyda. Zimą, kiedy zamarzał tworzyło się naturalne lodowisko i można było też jeździć na łyżwach. Był o wiele większy od tego przy naszym domu i ślizgało się tam dużo dzieci z naszej okolicy.

Stawy te obecnie nie istnieją, zostały zlikwidowane. Ten mały w pobliżu naszego domu zasypano wkrótce po wojnie. Nagle zniknął w ciągu jednej nocy. Główną przyczyną zasypania małego stawu była konieczność ukrycia broni i amunicji oddziałów AK. W nocy ścięto wszystkie cztery wierzby, zatopiono broń, narzucono trochę ziemi i wyrównano teren. Opowiadał mi o tym po jakimś okresie mój sąsiad, który brał udział w ukryciu broni i likwidacji tego stawu. Duży staw istniał jeszcze kilkadziesiąt lat po wojnie, a obecnie jest na nim boisko sportowe.

Przez łąki Kolanowa płynął w kierunku na wschód nieuregulowany wówczas jeszcze potok Babica. Początek tego potoku zaczyna się w Lesie Kolanowskim. Latem na tych łąkach wokół potoku często spacerowały dostojnie bociany. Miały tu dużo pożywienia, na łąkach był pełno żab. W maju często siadaliśmy w naszym ogrodzie i słuchaliśmy rechotu żab dochodzącego ze stawu i łąk w Kolanowie. Na wiosnę na brzegach potoku rosły kaczeńce. Do Lasu Kolanowskiego chodziliśmy zbierać jagody i grzyby. Borówek było tak dużo, że będąc tylko na skraju lasu zdążyliśmy w ciągu godziny uzbierać jagód na pierogi do obiadu.

Żydowski sąsiadzi

W przedwojennym Kolanowie mieszkali też Żydzi. Aron Kühn, od którego rodzice kupili dom przeprowadził się do miasta i zmieszkał przy ul. Kazimierza Wielkiego koło konnych koszar wojskowych gdzie stacjonował 5 Dywizjon Taboru. Obecnie jest tam wybudowany po wojnie budynek



Żyd z Bochni w tradycyjnym stroju. Fotografia I. Krieger, Wł. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa

szkoły podstawowej. Wtedy stał tam długi parterowy drewniany dom kryty papą, jedyny pomiędzy koszarami wojskowymi a obecnym internatem. Pan Kühn zajmował się wówczas handlem kosztownym mlekiem dla Żydów. Pamiętam, że jeździł po mleko do Łęczycy do siostry księdza Lalika. Zimą po śniegu przejeżdżał koło naszego domu zaprzęgiem składającym się z sani, które ciągnęły 4 duże psy. Na saniach były ustawione duże konwie na mleko.

Mieliśmy jeszcze dwóch sąsiadów Pana Austerweila i Pana Frischa, którzy mieszkali kilka domów dalej. Pan Austerweil miał drewniany dom po tej samej stronie drogi, handlował bydłem i miał rzeźnię w mieście. W jego ogrodzie przy domu stała drewniana altana nazywana przez nas żydowską bożnicą, stanowiąca miejsce modlitwy dla Żydów. Altana była kwadratowa, cała zrobiona z drewna o ażurowych ścianach, gęsto pokryta dzikim winem. W tej altanie corocznie w miesiącu wrzeźniu przez kilka dni modlili się tylko mężczyźni, kobiety nie brały w tym udziału.

Po przeciwnej stronie drogi mieszkał pan Frisch, który prowadził sklep spożywczy. Dom był duży, parterowy, w części mieściło się mieszkanie a jednym z większych pomieszczeń znajdował się sklep spożywczy. Kiedy wchodziło się do sklepu odzywał się dzwonek umieszczony nad drzwiami. Sprzedaż zajmował się sam właściciel, a tylko w soboty, kiedy przypadało święto żydowskie Szabas klientów obsługiwała córka Pana Frischa. Szabas rozpoczynał się w piątek wieczorem i trwał do soboty wieczór i w tym czasie Żydzi nie pracowali a tylko modlili się. Pamiętam jak Pan Frisch w każdą sobotę siedział w sklepie i kiwając się półgłosem odmawiał modlitwy. Okryty był białą chustą w czarne pasy, na głowie miał okrągłą czapkę jarmułkę a na czole przywiązywał skórzane pudełko. Pan Frisch wtedy z nikim nie rozmawiał. Dla nas katolików obrzędy religijne Żydów były niezrozumiałe i budziły duże zainteresowanie. Pamiętam, że mój brat z kolegami biegali i podglądali modlących się Żydów w altanie Pana Austerweila. Z ciekawością też przyglądaliśmy się obyczajom panującym w domu Pan Frischa.

Przy sklepie był punkt gastronomiczny działający głównie latem. W przylegającym do domu dużym ogrodzie, w cieniu rozłożystych drzew ustawione były drewniane ławki i stoliki do picia piwa. Z tyłu domu właściciel ulokował na stałe długą kręgielnię. Było to drewniane, długie na około 10m, zadaszone dachem pokrytym papą pomieszczenie. Kręgielnia działała głównie latem, w niedzielne popołudnia przychodziło tam dużo ludzi z dziećmi. Dzieci dostawały słodczyce a dorośli pili piwo i grali w kręgle. Drewniane kręgle miały wysokość około 1 m. Rzucono jedną kulą, ten kto więcej strącił kręgli wygrywał i pozostali gracze stawiali mu piwo. My jako dzieci bardzo kibicowaliśmy graczom i pomagaliśmy liczyć ilość strąconych kręgli.

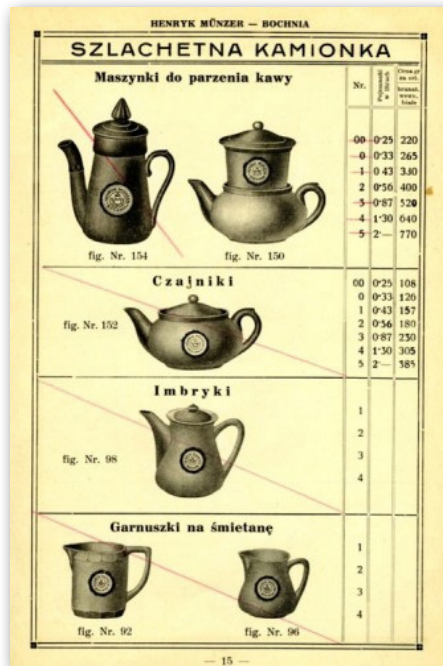
Większość Żydów mieszkała w centrum miasta. Zajmowali się głównie handlem i usługami, na 272 zarejestrowanych kupców aż 239 było wyznania mojżeszowego. Przypominam sobie, że prawie wszystkie sklepy z ubraniami, butami, z galanteria odzieżową, materiałami budowlanymi i żywnością były żydowskie. W rynku był tylko jeden sklep spożywczy, którego właścicielem był Polak. Sklep mieścił się w budynku na północnej stronie Rynku. Żydzi byli bardzo uprzejmi i usłużni dla swoich klientów, mieli wrodzony talent do handlu i spryt. Pamiętam jak rodzice kupowali dla mnie buty. Żyd nazywał się Licht, miał sklep z obuwiem w samym rynku na południowej stronie, w drugim budynku od dawnej apteki. W wąskim pomieszczeniu po obu stronach stały pudła z butami ustawione na regałach sięgających prawie do samego sufitu. Ja siedziałam a właściciel wychodził kilkakrotnie na drabinę wyjmował z pudełek buty i osobiście wkładał mi na nogi. Przedstawiał do wyboru kilkanaście par. Zachęcał rodziców do kupna. W końcu po długiej prezentacji buty zostały kupione.

W sklepach z żywnością, Żydzi prowadzili handel na kredyt. Właściciel wpisywał kwotę zakupionego towaru do zeszytu a raz w miesiącu następowało rozliczenie i zapłata. Idąc ze szkoły w ten sposób robiliśmy zakupy polecane przez mamę w sklepie spożywczym Pana Nebenzahla. Sklep mieścił się w stojącym do dzisiaj budynku przy ul. Kazimierza Wielkiego, naprzeciw obecnego boiska sportowego. Tam kupowaliśmy najczęściej naftę do lamp a inne zakupy na miejscu u Pana Frischa. Mama raz w miesiącu po wypłacie ojca rozliczała się z właścicielem sklepu. W ten sposób zakupów dokonywali wszyscy mieszkańcy a za tę formę sprzedaży Żydzi nie pobierali żadnych dodatkowych opłat.

Fabryka naczyń kamionkowych

Nieopodal naszego domu w odległości około 100 m w kierunku Krakowa, po drugiej stronie gościńca znajdowała się stara fabryka naczyń kamionkowych Henryka Münzera. Fabryka zbudowana w 1919 r. wytwarzała naczynia kamionkowe w oparciu o miejscowe złoża gliny. Zniszczona została w pożarze w 1924 r. Pożar wybuchł w niedzielę, kiedy nie było w domu właścicieli ani żadnych pracowników. Stwarzał zagrożenie dla sąsiednich i znajdujących się po przeciwnej stronie drogi budynków. Ludzie, aby chronić swoje domostwa nakrywali mokrymi kocami dachy domów.

Nową dużą fabrykę właściciel wybudował w Bochni przy stacji kolejowej ze względu na wyczerpanie się miejscowych złóż gliny i wysoki koszt transportu surowca ze stacji kolejowej do Kolanowa. Jednak przed wojną w Kolanowie działał jeszcze częściowo stary zakład prawdopodobnie do 1938 r. Pamiętam, że pracowała tam moja ciocia Aniela Migdał z domu Tokarz. Czasem odwiedzałam ją w pracy i wtedy mogłam



Karta z cennika Fabryki Naczyń H. Münzera z 1938 r. Zbiory Muzeum w Bochni



Po dawnej fabryce H. Münznera w Kolanowie pozostał jeden z budynków przy ul. Brodzińskiego

zobaczyć jak wygląda ręczna produkcja kamionki. Na obracającym się kole garncarskim ciocia rękami nadawała kształt naczyniu z gliny. Był to prosty garnek około 1,5 litrowy. Podobnie pracowały jeszcze cztery inne kobiety. Wyrabianie naczyń odbywało się na piętrze budynku. Na parterze przygotowywano masę glinianą. Widziałam jak dwóch mężczyzn ręcznie wyrabiali glinę na masę. Następnie wnosili ją na piętro gdzie kobiety formowały gliniane naczynia. Była to ciężka praca fizyczna, a w Zakładzie panowały prymitywne warunki pracy bez urządzeń higieniczno-sanitarnych.

Do dnia dzisiejszego zachował się jedynie fragment zabudowań fabryki – wąski nieduży budynek, zwany w czasach działalności Zakładu oficyną. W budynku tym miesiła się administracja. W bardzo zniszczonym stanie zachował się

też do dnia dzisiejszego stojący obok duży oszklony budynek, prawdopodobnie należący do pana Münznera i pełniący funkcję budynku mieszkalnego.

Chodziłam do szkoły podstawowej im. Św. Kingi w Bochni przy ul. Bernardyńskiej. Szkoła podstawowa była wówczas 7 klasowa, ale po 5 klasie można było iść do 4 letniego gimnazjum. Ja ukończyłam 5 klas szkoły podstawowej i zdałam do 1 klasy gimnazjum. W szkole podstawowej naszą wychowawczynią była Pani Matejczyk. W klasie było 25 uczniów i były jeszcze 2-3 oddziały. Języka polskiego uczyła nas Pani Krajewska. W 5 klasie szkoły podstawowej były też zajęcia praktyczne z gotowania, nakrywania do stołu i robótki ręczne. Początkowo była to szkoła żeńska. Lekcje rozpoczynały się od wspólnej modlitwy. W klasie była większość katolików, ale były też 3 dziewczynki wyznania mojżeszowego. W czasie naszej modlitwy Żydówki zawsze wstawały i zakładały ręce jedną na drugą. W tej postawie stojącej z powagą czekały na zakończenie naszej modlitwy. Lubiłyśmy nasze żydowskie koleżanki i nie przeszkadzały nam w tym różnice wyznaniowe. W szkole nie było żadnego antysemityzmu.

Nasze radosne dzieciństwo i spokojne życie rodziców i naszych sąsiadów w brutalny sposób przerwała wojna. Nasz przedwojenny świat już nigdy nie powrócił.

Bochnia, dnia 10 listopada 2017 r.

Stanisława Szewczyk

Pragniemy wyrazić podziękowania Pani Dorocie Szewczyk za udostępnienie tekstu wspomnień Stanisławy Szewczyk. Wspomnienia te zostały opublikowane na łamach portalu internetowego: www.bochenskiedzieje.pl, a nasza Redakcja udostępnia je PT Czytelnikom za zgodą jego właściciela - Janusza Paproty. Pragniemy również zachęcić Czytelników do lektury artykułów tego portalu.

Marta Kazek

Udar mózgu a terapia logopedyczna

Pani Bogusława ma trudności z nawiązywaniem komunikacji już od trzech lat. Pewnego dnia po sianokosach, źle się poczuła. W trakcie powrotu do domu, dziwnie reagowała, gubiła wątek zdania, bez przerwy zaciniała się, bywało, że nagle wybuchała przerywanym śmiechem. Wtedy jeszcze rodzina nie wiedziała, że może to być objaw rozwijającego się udaru. Dzieci pani Bogusławy odbierały jej zachowanie jako skutek przepracowania i żarty. Poza tym cały czas była przytomna, więc według rodziny, nie było podstaw, aby wezwać karetkę pogotowia.

Kiedy po kilku godzinach nie potrafiła już wypowiedzieć ani jednego prostego słowa, a twarz wykrzywił paraliż, zawieziono ją czym prędzej do szpitala.

Niestety, przyjechała za późno. Czas zadziałał na jej niekorzyść, aby zniwelować skutki udaru, bowiem doszło do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. Czym się to u niej objawiało?

- nie mogła wypowiedzieć słów,
- nikt nie rozumiał jej zdań,
- jej wypowiedzi były niezrozumiałe, bełkotliwe

- nie potrafiła napisać chociażby swojego imienia mimo, że wcześniej nie miała z tym żadnego problemu.
- umiejętności czytania zostały utracone.

Rodzina rozpoczęła intensywne działania aby pomóc pani Bogusławie. Znalezione logopedę, rehabilitanta, aby wspomóc utracone funkcje. Czekala ją intensywna terapia, wymagająca cierpliwości tak od niej samej jak i od rodziny, która musiała się nią zaopiekować i zadbać o najmniejsze szczegóły i plany każdego dnia.

Niełatwo było też o specjalistów z dziedziny medycznej. Okazało się bowiem, że pani Bogusława musi pozostać w pozycji leżącej, co wiązało się z kolei z dojazdem lekarzy do chorej. Nie każdy się na to godził, wymawiając się obowiązkami i daleką trasą. Znalezienie więc specjalisty było barierą, a czas uciekał nieubłagalnie, działając na niekorzyść chorej kobiety.

Takich przypadków jak ten jest mnóstwo. Udar mózgu jest dosyć częstym schorzeniem wśród ludzi. Mogłoby się zdawać, że dotyczy to niemal wszystkich, nie mniej jednak występuje

on najczęściej wśród osób powyżej 40 roku życia. Coraz częściej dotyka on osoby obciążone czynnikami ryzyka: nadciśnieniem, migotaniem przedsionków, cukrzycą czy otyłością. W sumie, można powiedzieć, że powinien on dotyczyć tylko osób starszych. W praktyce jednak spotkałam osoby młode, u których udar pojawił się w konsekwencji np. przyczyn kardiologicznych. Zdarzyło mi się w mojej praktyce logopedycznej prowadzić dziewczynę, która udar mózgu przeszła jako dwu letnie dziecko. Objawem występującym u niej już jako u nastolatki był obniżony kącik ust i szereg innych nieprawidłowości rzutujących na jej mowę oraz postawę ciała.

Przyczyną udaru mózgu jest zatrzymanie dopływu krwi do mózgu. Priorytetowe jest tutaj jak najszybsze rozpoznanie udaru mózgu.

Wytnij poniższe wskazówki z ramki i zatrzymaj w razie potrzeby:

Do najczęstszych objawów udaru zalicza się :

1. Niewyraźna, bełkotliwa mowa.
2. Drętwienie kończyn po jednej stronie ciała.
3. Ból głowy.
4. Chwiejny krok, zaburzenia równowagi podczas chodzenia.

Możesz też zrobić szybki test, który pozwoli Ci rozpoznać czy jest to udar mózgu u Twoich najbliższych. Pamiętaj jednak, aby wykonać go maksymalnie szybko, aby móc jak najszybciej ratować mózg chorego i wezwać pierwszą pomoc.

Jak rozpoznać udar mózgu - test.

1. Poproś osobę, u której podejrzewasz, że jest coś nie w porządku, aby uśmiechnęła się do Ciebie.

Jeśli osoba podczas wykonywania tego ćwiczenia podniesie tylko połowę swoich ust a druga połowa ust będzie nieruchoma - będzie to znak pierwszych nieprawidłowości.

2. Zapytaj osobę, u której podejrzewasz udar, o jej imię oraz nazwisko.

Jeśli pojawi się bełkot, sposób wypowiedzi będzie niewyraźny, będzie to wskazywało na udar.

3. Jako trzecie, bardzo istotne zadanie, poproś aby osoba podniosła obie ręce do góry.

Jeśli tego nie wykona, jest to udar mózgu.

Nie podawaj nic do picia czy do jedzenia. Przygotuj też dokumentację medyczną oraz leki, przyjmowane przez chorego.

Powyższe objawy wymagają jak najszybszej interwencji lekarza, dlatego nie wahaj się ani chwili i wezwij pogotowie ratunkowe pod nr tel 999 lub 112.

W szpitalu, osoba z udarem będzie poddana specjalistycznym badaniom: tomografii komputerowej (pozwoli stwierdzić, która część mózgu została uszkodzona) oraz badanie

neurologiczne (badanie odruchów, sprawności mięśni, reakcji oka na światło). Wszystko to pozwoli sprawdzić, które obszary zostały zniszczone. Po badaniach można wdrożyć specjalistyczne terapie.

Jak wygląda terapia logopedyczna?

W następstwie udaru pojawiają się trudności:

- **w zakresie używania mowy**- chory rozumie Twoje słowa, ale sam nie potrafi znaleźć słów potrzebnych do porozumienia się. Często używa tego samego słowa, lub wyrażen nie mających znaczeń.

- **w zakresie trudności z mówieniem** - chory ma osłabione mięśnie ust, języka, gardła, w związku z czym zniekształca słowa, powtarza kilkakrotnie te same wyrażenia.

Od czego więc zacząć terapię?

Wszystko zależy od wyników diagnozy, kondycji pacjenta. Terapię ustala się indywidualnie i zależy ona od wydolności wysiłkowej człowieka.

Podstawową wskazówką jest utrzymanie kontaktu pacjenta z rodziną. Nie może być pozostawiony sam w pokoju, i izolowany od innych. Nie zmuszaj też, aby powtarzał Twoje słowa po kilkanaście razy. Zadawaj pytania, ale tak sformułowane, aby mógł odpowiedzieć „tak”, lub „nie”. Możesz przygotować tablicę, czy rodzaj planszy, plakatu na której umieścisz np. artykuły dnia codziennego lub czynności jakie wykonujemy. W ten sposób chory ma możliwość wskazywać na obrazki według swoich potrzeb.

Dobrym pomysłem jest też załaminowanie gotowych obrazków czynności i rzeczy, które możesz rozkładać na stoliku przy chorym.

Jeśli chodzi o zaburzenia związane z uszkodzeniem aparatu mowy, możesz zaproponować ćwiczenia języka, warg, ćwiczenia oddechowe.

Pamiętaj!

Im szybsze i intensywniejsze ćwiczenia, tym większe efekty terapeutyczne!

W załączniku propozycja ćwiczeń wspomagających terapię logopedyczną osób dorosłych po udarze mózgu.

Ćwiczenia uwagi

1. Zastosuj stymulację sensoryczną, czyli dotyk połączony z różnymi pytaniami:

- ciepłe czy zimne (dotykaj różnymi przedmiotami, fakturami, np. mokra chusteczka, ciepły ręcznik, kostka lodu)
- gdzie dotykam?
- ile razy dotykam?
- tak samo czy inaczej? (porównywanie bodźców)

Stymulacja słuchowa

1. Zaklaszcz i zapytaj: „Ile razy klaskałam? Pokaż na palcach, na liczbach.
2. Zastukaj w stół i zapytaj: „Ile razy zastukałam?”
3. Wykonaj dźwięk w jakiejś części pokoju i zapytaj: „Skąd dobiega dźwięk?” Popatrz lub wskaż stronę. Możesz wykorzystać w tym celu ćwiczenia słuchowe z wykorzystaniem czynności domowych, np. „Gdzie kapie woda?”



Stymulacja wzrokowa

1. Fotografowanie rodziny (rozpoznawanie twarzy osób).
2. Przeglądanie gazet, różnych albumów, kolorowych obrazków.

Ćwiczenia w schemacie ciała

1. Rozpoznawanie prawej, lewej strony ciała.
2. Rozpoznawanie kierunkowości (na górze, na dole, w środku).
3. Ćwiczenia w orientacji twarzy (gdzie policzek, gdzie oko, gdzie ucho).

Marta Kazek - logopeda, oligofrenopeda, pedagog specjalny, terapeuta zaburzeń rozwojowych, nauczyciel. Przewodzi Gabinet Logopedyczny - Pedagogiczny „Akademia Mowy” w Bochni.

Prywatnie miłośniczka literatury medycznej (neurologia, medycyna, neurologopedia) oraz medycyny niekonwencjonalnej. Uwielbia podróże, zwłaszcza góry.

Od kilku lat tworzy własne pomoce logopedyczne i terapeutyczne, dzięki którym terapia jest bardziej atrakcyjna a nauka odbywa się przez zabawę. Część materiałów udostępnia bezpłatnie na swojej stronie: www.akademiamowy.eu

Zdjęcia wykorzystane za zgodą G. Biernata, który jest pasjonatem fotografii oraz jazdy na rowerze. Fotografuje hobbystycznie, zbierając pomysły i szukając inspiracji jeżdżąc na rowerze.

Ma głowę pełną projektów, potrafiąc ocenić potencjał scenarii lub modelu. Jego wrodzona ambicja, wrażliwość i talent to połączenie składników, które pozwala osiągnąć spełnienie i satysfakcję.

Jerzy Pączek

Dwa płuca jednej Europy

Gdy rozpoczynaliśmy w 2019 r. nasz polsko-grecki projekt sformułowanie tematu wywoływało zaskoczenie, nikt jednak w najgorszych snach nie kojarzył go z atakującym płuca covidem 19. Zakończenie projektu zbiegło się jednak niestety z wybuchem pandemii i spowodowało, że przez ostatni rok

wspominaliśmy tamten czas realizacji projektu jako raj utracony. Odległy zaledwie o kilka miesięcy, a jakby z innej epoki.

Zacznijmy od początku. Pomysł projektu pojawił się wśród uczestników innego projektu, polsko-ukraińskiego. Wracając z jednej z wypraw do Lwowa, po pobycie w Lwowskim Liceum Lingwistycznym, zbierając nasze doświadczenia zetknięcia z wschodnim kręgiem kulturowym odległym od Bochni tylko o 300 kilometrów, na Ukrainie, przypomnieliśmy sobie słowa niezwykle tam popularnego Jana Pawła II o tym, że Europa powinna oddychać dwoma płucami. Przypomnieliśmy sobie, że oprócz lwowskiego liceum mamy inną szkołę partnerską, w greckiej Trikali.

Z liceum „Athina” współpracujemy już od piętnastu lat. Zrealizowaliśmy wspólnie kilka projektów unijnych i wielokrotnie gościliśmy w tej szkole w czasie naszych wycieczek naukowych do Grecji. Jest to prywatna szkoła, z naprawdę wysokim poziomem nauczania. Szkoła oprócz innych atutów posiada jeden doprawdy wyjątkowy, jest położona 10 kilometrów od słynnego zespołu klasztornego w Meteorach. Wielolet-





nie kontakty ułatwiają nam współdziałanie i owocują prywatnymi, bardzo pomocnymi kontaktami z dyrekcją i nauczycielami. Zaplecze finansowe jak zwykle zapewniła na Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, a konkretnie program Erasmus+.

Nasz pomysł projektu pokazującego dwa historyczno-kulturowe płuca Europy: bizantyjskie (Grecy) i łańskie (Polacy) okazał się strzałem w dziesiątkę. Przygotowany przez nas wniosek znalazł się w pierwszej piątce najlepiej ocenionych, wśród kilkuset złożonych. Otrzymaliśmy solidne wsparcie finansowe, teraz należało tylko... zrealizować projekt. Czas poganiał, tym bardziej, że właśnie kończyliśmy na Ukrainie projekt „Galicyjskie drogi do niepodległości Ukrainy i Polski” finansowany przez Polsko-Ukraińską Radę Młodzieży, w którym byli zaangażowani niektórzy uczestnicy projektu polsko-greckiego.

Dobre planowanie i żelazna dyscyplina to podstawa. Od początku czerwca przeprowadziliśmy nabór do projektu. Miała go zrealizować grupa 10 uczniów I LO w Bochni i 10 uczniów z Liceum Athina w Trikali, przy wsparciu dwóch greckich nauczycieli: Stavroula Pirotis i Giorgos Aleksandris oraz Beata Truś i Jerzy Pączek ze strony polskiej. Działania rozpisaaliśmy na 9 miesięcy, planując na szczęście większość działań jeszcze na rok 2019. Najważniejszym z nich było pięciodniowe spotkanie obydwu grup w Trikali. Przed wyjazdem czekały nas jednak bardzo intensywne przygotowania kulturowo-językowe. Ponad 70 godzin zajęć z języka angielskiego, greckiego, rosyjskiego (alfabet z wschodniego kręgu kulturowego) i oczywiście historii. A wszystko to jako, wstęp do pracy on-line w polsko-greckich grupach, przygotowujących prezentacje poświęcone pięciu tematom: językom, literaturze,

religii, muzyce i sztuce w naszych dwóch kręgach kulturowych. Nasze działania nastawione były na poszukiwanie tego, co łączy dwa płuca naszej jednej Europy. My znajdowaliśmy się w tym szczęśliwym położeniu, że elementy łączące mogliśmy znaleźć dosłownie za progiem np. w czasie wycieczek do Krakowa (cerkwie w Krakowie, ruski wystrój Kaplicy Świętokrzyskiej na Wawelu, zbiór ikon w Muzeum Erazma Ciołka i wiele innych). Uzupełniliśmy poszukiwania przez wycieczkę do Sanoka, miasta pogranicza z wspaniałym zbiorem ikon i cerkiewiami zwiedzanymi po drodze. Przez ten czas nawiązywaliśmy kontakt z Grekami, nie tylko on-line, ale także we wrześniu w czasie dwudniowej wizyty przygotowawczej w Trikali. Czas uciekał nieubłaganie i zbliżał się nasz listopadowy pobyt w Trikali. Wszyscy włożyli w przygotowania sporo czasu

i wysiłku. Jeszcze pośpiesznie poszukiwaliśmy strojów krakowskich i ćwiczyliśmy kroki krakowiaka na szkolnej sali gimnastycznej i oto już siedzimy w samolocie z Katowic do Aten. W Atenach mieliśmy kilka godzin na zwiedzanie miasta, w sam raz by dotrzeć na Akropol, przejść na plac Syntagma pod gmach parlamentu. Z Aten czekała nas jeszcze długa pięciogodzinna podróż pociągiem na północ, ponad trzysta kilometrów do Tesalii. Późnym wieczorem dotarliśmy do Trikali by w następnym dniu spotkać się greckimi przyjaciółmi już w realu. Kolejne pięć dni spędziliśmy na zajęciach wspólnych z greckimi uczniami w ich szkole. W każdym z projektowych dni braliśmy udział w typowych greckich lekcjach, z reguły dwie lekcje były przeznaczone na tematykę czysto projektową. Grecka szkoła położona jest kilka kilometrów poza miastem, codziennie mieliśmy więc okazję do przejażdżki żółtym szkolnym autobusem w towarzystwie greckich znajomych.

Od pierwszego dnia nasza grupa spotkała się z olbrzymim zainteresowaniem greckich kolegów i...koleżanek. Okazało się, że Grecy to ludzie niezwykle otwarci i towarzyscy, dodatku bardzo dobrze mówiący po angielsku. Nasze kontakty szkolne szybko przeniosły się na grunt pozaszkolny, na popołudniowe i wieczorowe spotkania. Trikala jest miastem niewiele większym od Bochni, ale styl życia Greków dość znacząco różni się od naszego. By wspomnieć tylko, że większość sklepów jest otwarta do 22, a spotkanie sklepu czynnego o 24 nie jest niczym nadzwyczajnym. Grecy to naród niezwykle towarzyski, spędzający czas w dziesiątkach!!! kawiarni „kafeneionów” z wspaniałą kawą i arcyśladkami słodyczami. Nasz projekt nastawiony był także na zobaczenie tej strony życia



Greków. Ustaliliśmy, że przez tydzień jesteśmy... Grekami. Uczymy się z Grekami, rozmawiamy z Grekami, pijemy greckie napoje (nie piją wody gazowanej), jemy greckie jedzenie, owoce i słodycze. Oczywiście zwiedzamy popołudniami miasto, które ma całkiem sporo zabytków, niekoniecznie antycznych. Odwiedziliśmy pięknie odrestaurowane muzeum w dawnych tureckich łaźniach, w kolejnym dniu stary turecki zamek, w następnym dawny bardzo dobrze zachowany meczet. No i oczywiście uczta kulturowa czyli niesamowity zespół zawieszonych na skałach klasztorów: Meteory. To był nasz cel opracowany jeszcze w Bochni. Niestety zamknięty był największy z nich Meagalo Meteora, ale odwiedziliśmy pięć innych przy fantastycznej pogodzie, dosłownie wędrując w chmurach.

Po pięciu dniach dotykania, na różne sposoby, bizantyjskiego kręgu kulturowego czas było kończyć projekt. Ostatnim tematem była muzyka. Gospodarzy zaskoczyliśmy naszymi strojami i wykonaniem krakowiaka przez Bartka i Anię, ale my zostaliśmy zaskoczenia prawdziwym szaleństwem muzycznym naszych greckich kolegów, którzy nie tylko ko-

niecznie chcieli nauczyć się krakowiaka (dwieście osób), ale postanowili nas nauczyć tańców greckich, co w przypadku Maksa i Igora dało niespodziewanie dobre rezultaty. Jeszcze tylko kilkugodzinne polsko-greckie spotkanie w naszej ulubionej tawernie u Ianfosa i musieliśmy pożegnać gościnną Trikałę i naszych greckich przyjaciół. Kilka godzin spędziłyśmy w podróży pociągiem do Aten, by nad ranem wylecieć do Krakowa.

Tydzień minął błyskawicznie, ale pozostały wspaniałe wspomnienia, setki zdjęć, nawiązane przyjaźnie. Nie był to jeszcze koniec naszego projektu. W Bochni czekały zadania do wykonania: spotkania z uczniami naszej szkoły, spotkania z uczniami bocheńskich szkół powiatowych i miła rola ekspertów w debacie oksfordzkiej z tematem: „Europa potrzebuje dwóch płuc”. My mówimy zdecydowanie: Tak potrzebuje. Poznanie bizantyjskiego płuca Europy było wspaniałym doświadczeniem. Brali w nim udział: Zuza Borek, Beata Rak, Julia Kukla, Igor Urbanik, Maksymilian Zaczek, Bartłomiej Zieliński, Julia Juszczyk, Sandra Głowacka, Anna Fiołek i Wiktoria Gałka.



KRONIKA



STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

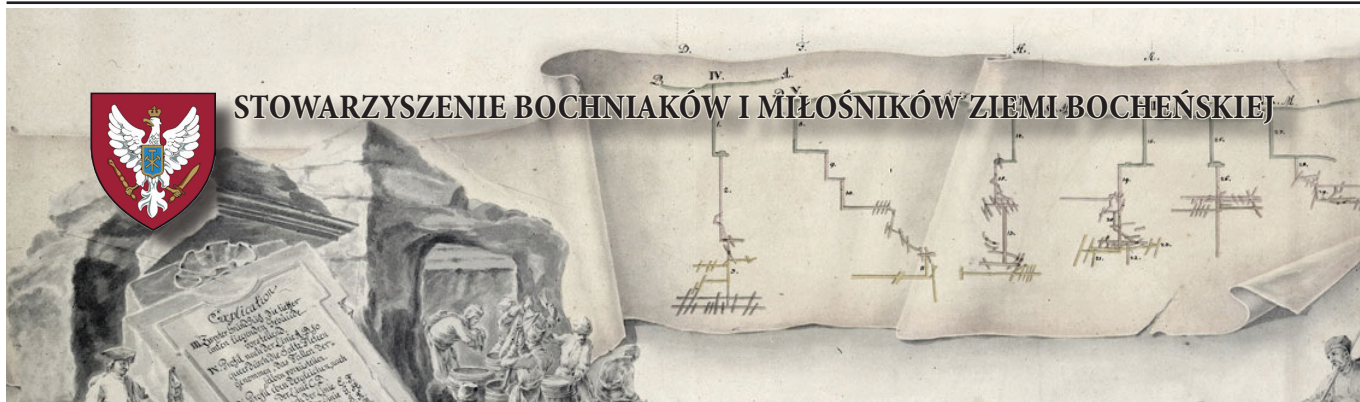
W styczniu 2021 Teatr Artystokracki, działający przy SBiMZB, rozpoczął nowy program działalności, polegający na popularyzacji lokalnej historii, miejsc i postaci, które prezentowane są w krótkich filmach „W starym mieście”. Na początek zajęto się nazwami ulic w ramach tzw. „serii ulicznej”. Dotychczas ukazały się trzy odcinki: ul. Julii i Wojciecha Goczałkowskich, ul. ks. Gadowskiego i ul. Piotra Galasa. Przy postaci ks. Walentego Gadowskiego (odcinek ten wyemitowano na „walentynki”) wspomniano także drugiego księdza, również Walentego, Ślusarza.

Pomysłodawcą programu jest Zofia Sitko, nad całością realizacji czuwa Maksymilian Truś, opracowaniem graficznym zajmuje się Olga Płaczek, a oprawą muzyczną Jakub Staśto (kompozycja własna). Czołówka filmu ma w humorystyczny sposób nawiązywać do cyklu telewizyjnego „W starym kinie”, co jeszcze podkreśla nazwa „W starym mieście”. Autorką czołówki i tytułu jest Olga Płaczek.

W poszczególnych odcinkach występują aktorzy Teatru Artystokrackiego.

Zapraszamy do oglądania i subskrybowania kanału <https://m.youtube.com/watch?v=9uXGbam6OeQ&feature=share>





STOWARZYSZENIE BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

Pan

Daniel Duda

prof. dr kpt. ż. w.

**Honorowy Ambasador Miasta
Bochni**

Szanowny Panie,

Z ogromną satysfakcją i dumą przyjęliśmy fakt przyznania Panu, naszemu Krajanowi zaszczytnego tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Morskiego w Gdyni.

To, nie pierwsze przecież, wyróżnienie świadczy o wysokiej akceptacji i uznaniu dla Pana osiągnięć, zasług i horyzontów naukowych.

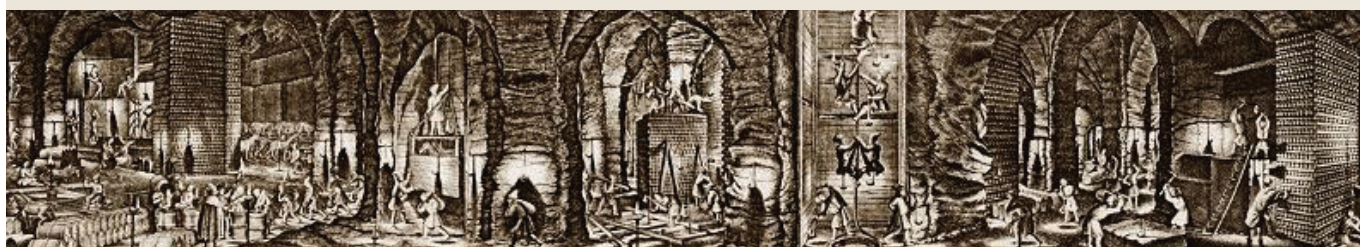
Nasze Stowarzyszenie nieraz dawało wyraz swojemu podziwowi dla owoców Pana wielostronnej pracy. Szczególnie cieszy nas to, że mimo oddalenia, aż na drugi kraniec Polski, zachowuje Pan więzi ze swoim rodzinnym miastem i popularyzuje polską historię i tradycję morską oraz współczesne osiągnięcia morskiej polityki naszego państwa – co odbywało się również poprzez Stowarzyszenie Bochniaków i jego periodyk „Wiadomości Bocheńskie”.

Nasze serdeczne gratulacje łączymy z życzeniami dobrego zdrowia i wszelkiej pomyślności osobistej.

Z wyrazami szacunku
Zofia Sitko

Prezes
Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Bochnia, 9 marca 2021 r.



List do Redakcji

W dniu 25 stycznia napisała do nas pani Bogumiła Chłodnicka z Zielonej Góry, po lekturze *Pamiętników* Stanisławy Serafińskiej, których fragmenty publikowaliśmy w trzech kolejnych numerach *Wiadomości Bocheńskich*.

Pani Chłodnicka pisze: „(...) Jest to wyjątkowa lektura. Losy rodziny na tle wydarzeń bardzo ważnych w historii powstania Państwa po okresie rozbiorów (...) Mam nadzieję,

że Pani Maria Domańska, spadkobierczyni tych skarbów pamiętnikarskich znajdzie dość sił i możliwości, aby je wydać w książce.

Jest to tym bardziej ważne, że włożono dużo pracy w opracowanie pamiętników ilustrowanych zdjęciami i w bogactwo przypisów. Życzę wszystkiego dobrego w Nowym Roku Redakcji i paniom Domańskiej i Opiola.,,

Z ogromnym żalem i smutkiem w dniu 18 lutego na Cmentarzu Komunalnym Północnym na Wólce Węglowej w Warszawie pożegnałam wraz z rodziną z Bochni, Gdyni i Warszawy moją kochaną siostrę, mieszkankę Radomia



**KAZIMIERĘ
MAKULSKĄ
zd. Nowakowską**

(1933-2021)

wieloletnią członkinię Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej, która rodziną Bochnię darzyła wielkim sentymentem i często do niej przyjeżdżała, spędzając tu większość urlopów i świąt.

To właśnie w Bochni ukończyła szkołę podstawową i Liceum Ogólnokształcące im. Króla Kazimierza Wielkiego, a następnie w 1955 r. Wydział Ceramiczny na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Swoje życie zawodowe poświęciła zgodnie z wykształceniem przemysowi ceramicznemu. Najdłużej w swojej pracy zawodowej związana była z Radomskim Zakładem Ceramicznym, w którym pełniła funkcję głównego technologa. Była członkiem Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Materiałów Budowlanych. Dzięki swojej wiedzy i doświadczeniu, została ekspertem w specjalności ceramika szlachetna, a swoje doświadczenie w tym zakresie opisywała w branżowym kwartalniku *Wokół płytek ceramicznych*, gdzie przez wiele lat była Redaktorem Działu.

Jako człowieka cechowała ją ogromna kultura osobista, wielka wrażliwość na krzywdę ludzką, serdeczny stosunek do ludzi i niebywała pracowitość. I taką ją zapamiętamy.



**Przewodnicząca Oddziału Gdynińskiego
Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej
Stanisława Duda**

Z ogromnym żalem i w poczuciu wielkiej straty przyjęliśmy wiadomość, że dnia 4 lutego 2021 r. zmarł w Wieliczce w 110. roku życia



ś. p.

HENRYK KOZUBSKI



Inżynier rolnik, przedwojenny harcerz, artysta malarz zwany „Wielickim Chagallem”, od lat związany z wielicką grupą twórców ART-KLUB.

Członek Klubu Przyjaciół Wieliczki.

Do pasji malowania, porzuconej w młodości powrócił w wieku 83 lat. Jego dorobek stanowi ponad 300 akwarel prezentowanych na 100 wystawach.

Uhonorowany wieloma odznaczeniami, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką Honorową Królewskiego Górniczego Wolnego Miasta Wieliczka, Nagrodą Kulturalną Burmistrza Miasta i Gminy Wielicka, Odznaką Honorową „Zasłużony dla kultury polskiej.

Najstarszy mieszkaniec Wieliczki.

Związany z Bochnią nie tylko rodzinnie ale także wieloletnią przyjaźnią i współpracą ze Stowarzyszeniem Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.

Odejście Pani Henryka jest wielką stratą dla naszych społeczności.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w sobotę 8 lutego 2021 r. o godz. 13.00, w w kościele pw. św. Klemensa w Wieliczce.

Spoczął w grobowcu rodzinnym w Wieliczce sektor VI, rząd 10, grób 13.

Rodzinie zmarłego składamy szczere wyrazy współczucia.

Cześć Jego Pamięci



Zarząd Główny
w imieniu wszystkich Oddziałów
Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Z ogromnym żalem i w poczuciu wielkiej straty przyjęliśmy wiadomość,
że dnia 28 lutego 2021 r. zmarła w 90. roku życia



ś. p.

Profesor

MICHALINA PIĘCHOWA

z d. SĘKOWSKA

zamieszkała przy ul. Orackiej

Wieloletnia członkini i „Nestorka” Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Działalność Stowarzyszenia wspierała artystycznymi talentami: malarskim i literackim. Przez wiele lat swoje obrazy zamieszczała na „Wystawie Lokalnych Twórców” w Domu Bochniaków. Jej publicystyka ukazywała się również w „Wiadomościach Bocheńskich”.

Ceniona i szanowana, emerytowana nauczycielka literatury i języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni. Założyła i przez wiele lat prowadziła Szkolne Koło Teatralne.

Była uznaną autorką wielu książkowych publikacji oraz artykułów do lokalnych gazet. W naszym mieście była główną propagatorką wielkości ducha i zasług Ojca Świętego Jana Pawła II.

Odejście Pani Profesor zasmuca Nas Wszystkich. Jest wielką stratą nie tylko dla naszego Stowarzyszenia ale i dla społeczności miasta Bochni.



Nabożeństwo żałobne odbyło się w sobotę 6 marca 2021 r. o godz. 11.30,
w Bazylice Św. Mikołaja w Bochni.

Spoczęła w grobowcu rodzinnym sektor XXVII, rząd 10, grób 8.

Rodzinie zmarłej Koleżanki składamy szczerze wyrazy współczucia.

Cześć Jej Pamięci



Zarząd Główny
w imieniu wszystkich Oddziałów
Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

15 marca 2021 roku zmarła w wieku 90 lat



ś. p.

MARIA ROJKOWSKA

Emerytowana nauczycielka bocheńskich szkół średnich: Liceum Pedagogicznego i Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zaś edukację muzyczną odbyła w pierwszej po wojnie szkole muzycznej w Bochni, pod kierunkiem Wandy Chomrańskiej. Swoje artystyczne pasje i talent wyraziła w bogactwie malarskich dzieł. Ulubionym tematem były kwiaty. Jej obrazy odnajdujemy w domach przyjaciół i znajomych. Malowała do ostatnich dni swego długiego życia. U szkolnych wychowanków rozwijała zainteresowanie sztuką. Zachęcała do podejmowania prób plastycznych również poprzez lekcje w plenerze, konkursy prac, wystawy.

Kochała czytać!

Erudycja, niezależna osobowość i to poczucie humoru z nutą ironii i dystansu, zjednywały Jej wielu sympatyków. Była wyjątkowa. Doceniano i szanowano opiekuńczość i troskę wobec najbliższych.

Żegnamy ze smutkiem Panią Marię. Jej odejście zubożyło społeczność naszego miasta.

Najpełniej dał temu wyraz, w pięknej i wzruszającej serdecznością mowie pogrzebowej, były uczeń i przyjaciel Pani Profesor, ks. dr Krzysztof Wymazała w czasie Mszy Św. Pożegnalnej w kaplicy cmentarnej przy ulicy Orackiej. 19 marca 2021 roku.



Stowarzyszenie Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

BOCHNIANA

Ewelina Mroczek

Warto przeczytać

(...) Polska nadal poszukuje ponad pół miliona dzieł sztuki, zrabowanych przez okupanta podczas II wojny światowej, w tym bezcennego obrazu Pietera Brueghla „Walka karnawału z postem”. (...) .

Poszukiwanie arcydzieła flamandzkiego mistrza stało się kanwą opowieści Magdaleny Ogórek.

Arcyciekawej, wielowątkowej, niemal detektywistycznej historii o gigantycznym procederze kradzieży dzieł sztuki i kultury na terenach zajętych przez III Rzeszę, przede wszystkim Polski. Grabież perfekcyjnie zaplanowana, jeszcze przed wojną, była realizowana przez fachowe

instytucje i ludzi z tytułami naukowymi, a także urzędników z aparatu okupacyjnej władzy.

Materiałów do rozwiązania zagadki zaginionego obrazu Autorka szukała w wielu archiwach min. w watykańskich i prywatnym rodziny Wächterów. W cytowanym w książce biogramie generała SS Ottona von Wächtera pod datą listopad 1939 czytamy: *Wächter rekwiruje „Walkę karnawału z postem” Pietera Brueghla i wywozi z Krakowa, najprawdopodobniej do Wiednia. Bezcenny obraz nie zostanie uwzględniony w spisie „Sichergestellte Kunstwerke im GG”*.¹

Dokąd więc wywozi? Gdzie obraz znajduje się dzisiaj? Poszukiwania prowadzą Autorkę z Krakowa do Wiednia, Pragi, Berlina, Watykanu, USA. Każą cofnąć się w mroki okupacji, lata powojenne, a główną postacią do rozwiązania tajemniczego losu obrazu uczynić Ottona Wächtera.

Kim on był? - Miłośnik sztuki. Kolekcjoner. - A druga twarz? Tę poznało i społeczeństwo naszego miasta już 18 grudnia 1939 roku. Po wojnie w lasku Uzbornia postawiono monument pamięci 51 rozstrzelanych. Zabitych w akcie zemsty i zbiorowej odpowiedzialności. Rozkaz podpisał Wächter i był obecny przy egzekucji. M. Ogórek przytacza jego list do żony z datą 17 XII 1939. List wysłano z Pałacu Potockich. Oto fragment: *Muszę jutro rozkazać znów rozstrzelać 50 Polaków. Do tego wzrastająca przykrość-cierpienie przez wpompowanie ewakuowanych ludzi z Kraju Warty...* W załączonym do książki biogramie czytamy: *Doktor praw Otto Gustaw (Freiherr von) Wächter, dowódca grupy, generał dywizji policji, szef administracji wojskowej gubernator.* A jeszcze bliżej; Austriak, arystokrata z tytułem barona urodzony w 1901 w Wiedniu (autorka książki często akcentuje ogromny współdziałanie Austriaków w terrorze, eksterminacji i grabieży czasów ostatniej wojny). Od 1923 związany z narodowym socjalizmem. W 1934 uczestniczy jako polityczny przywódca w puczu wobec austriackiego kanclerza Dollfusa, w którym kanclerz Austrii ginie. Zajęcie Polski w 1939 Wächterowi, już zauważonemu w Berlinie (przyjaźń z Himmlerem i Hansem Frankiem), otwiera drogę do wysokiego stanowiska gubernatora: 8 XI 1939 – 21 I 1942 dla dystryktu Kraków, od 2 II 1942- 3 VIII 1944 dla dystryktu Galicja z siedzibą we Lwowie. Współpracując z Generalnym Gubernatorem realizuje priorytetowe zadania polityki okupacyjnej m.in.: założenie getta w Krakowie i otoczenie go charakterystycznym murem; „zabezpieczanie” dzieł kultury i sztuki w krajach zaanektowanych przez III Rzeszę. Autorka podkreśla przewrotność i fałsz określenia „zabezpieczanie”, gdy działa się w ogromnej skali; ordynarny rabunek i wywóz, a też i niszczenie z szowinistycznej nienawiści. Na mocy rozkazu Wächtera powołano krwawą 14 Dywizję Grenadierów (SS „Galizien”). Po wojnie poszukiwany „przez Norymbergę”. Ukrywa się 3 lata w Alpach w okolicach Salzburga. Potem w Rzymie. W klasztorze. Pod przebraniem mnicha. Nie doczekał wyjazdu do Ameryki Płd. Zmarł w 1949. Prawdopodobnie otruty. Przez kogo? Autorka rozważa: - Ludzie z „odesskiego szlaku”? Sowietci? Amerykanie?

Magdalenie Ogórek udaje się ustalić wiele szczegółów dotyczących metod i losu zrabowanego w Polsce dziedzictwa kulturowego. Z goryczą podkreśla trudności i niechęć „aktualnych właścicieli” do jego zwrotu. Dotyczy to nie tylko prywatnych osób, ale i oficjalnych instytucji w Austrii i Niemczech.

Pozytywnie wyróżnia więc postawę Horsta Wächtera (syn Ottona). Nie odmówił współpracy: zaprosił autorkę do swojego zamku, udostępnił domowe archiwum (stąd wiele w książce fotografii rodziny, listów Ottona do żony, dzieci, przyjaciół...). Oddał 3 artefakty zabrane z Krakowa. Wächterowie w okresie gubernatorstwa Ottona w Krakowie mieszkali w Pałacu pod Baranami i zajmowali również pałacyk w Przegorzałach (dziś dzielnica Krakowa, za okupacji miejsce niemal codziennych egzekucji). Zawłaszczone rezydencje urządzili meblami, obrazami z krakowskich muzeów. W płądrowaniu i przywłaszczaniu wyróżniła się Charlotta Wächter. Szyszko-Bohusz tak o niej napisał w swoich wspomnieniach: *„nazywana przez nas <kłepką meklemberską> antypatyczna kobieta, węsząca po wszystkich zbiorach, by coś z nich zabrać na własność, zarozumiała i bez skrupułów”*. A co z odgłosami egzekucji? Można by zapytać.

Mimo faktów, dochodzący dzisiaj 80. lat Horst Wächter trwa

w przekonaniu o szlachetności ojca - przecież spełniał tylko obowiązek wobec ojczyzny. I chwali się, wysoką funkcją ojca, Gubernatora dwóch prowincji. Widział tylko wysoki urząd.

W książce obok bocheńskiego odnajdziemy również wątek wiśnicki. Otóż do przebudowy pałacyku w Przegorzałach Wächterowie użyli materiałów pochodzących z rozbiórki kościoła karmelitów w Nowym Wiśniczu. Losy wojenne 3. wielkich płócien Jana Matejki: „Rejtan”, „Batory pod Pskowem”, „Unia Lubelska” miały epizod wiśnicki nim zostały przewiezione celem ukrycia na Dolny Śląsk².

Opowiedziana przez Magdalenę Ogórek (historyka, pasjonata sztuki, doktora nauk humanistycznych) historia to przeszłość i współczesność. Komentatorzy podkreślają znużającą pracę i upór autorki w odkrywaniu tego co zamknięto w archiwach i co zawiera literatura przedmiotu. - Dziś może czytana tylko w wąskich gronach? Autorka trafia do wyobraźni i uczuć. Nie ukrywając swoich emocji, tworzy opowieść pozbawioną nienawiści i chęci odwetu. A za sprawę nadal otwartą uważa odzyskanie utraconych skarbów kultury polskiej.

Przypisy.

¹ Oficjalny, sporządzony przez Niemców w latach 1939-1940 katalog dzieł sztuki i zabytków kultury polskiej w Generalnym Gubernatorstwie, przeznaczonych do konfiskaty.

² *Wiadomości Bocheńskie*, nr 4, zima 2013, art. *Wywiad z Marią Serafińską -Domańską kustoszem Muzeum Pamiątek po Janie Matejce w Wiśniczu*, str.38-40.

Magdalena Ogórek. *Lista Wächtera. Generał SS, który ograbił Kraków. Gdzie zginęły polskie dzieła sztuki?* Warszawa 2017 s. 455

Henryk Szaleniec (Kraków)

Ścieżkami szkolnych wspomnień

Szkoła na dwa sposoby wpisuje się w historię swojego miasta. Głównie poprzez ludzi, którzy w niej kończą pewien etap edukacji i przez kilkadziesiąt lat współtworzą dzieje swego miejsca zamieszkania, miejsca pracy zawodowej, społecznej, sportowej, religijnej czy też innej. Drugi sposób to zaznaczenie swojego istnienia bezpośrednim udziałem w życiu kulturalnym, społecznym uczniów i nauczycieli. O ile ten pierwszy jest procesem długotrwałym i w przypadku Liceum Pedagogicznego w Bochni obejmuje kilkadziesiąt lat, to ten drugi, zresztą niezmiernie ważny, ograniczony jest czasem istnienia szkoły. Nasze Liceum Pedagogiczne po drugiej wojnie światowej istniało dwadzieścia pięć lat i przygotowało do zawodu bez mała dwa tysiące nauczycieli szkół podstawowych. Absolwenci LP to nie tylko nauczyciele i dyrektorzy szkół Bochni i powiatu bocheńskiego, ale i autorzy wielu publikacji o regionie, wystaw malarskich, sukcesów sportowych i kulturalnych miasta. Zostawili także ślad swojej działalności w innych miastach Polski, Europy, a nawet innych kontynentów. Wspominamy o tym w naszej książce.

Jesteśmy częścią społeczności LP w Bochni, która zdała maturę w 1965 roku oraz innych latach i na obydwu sposoby jest związana z miastem.

Napisaaliśmy książkę o naszych losach w kontekście historii liceum i Bochni zatytułowaną „Spojrzenie wstecz. Przywołane wspomnienia”. Książkę, która powstała ze wspomnień

trzydziestu autorów w czasie naznaczonym pandemią COVID-19, co prawie całkowicie uniemożliwiło bezpośrednie kontakty. A przecież my, wszyscy współautorzy publikacji, zaliczamy się do grona seniorów nazywanego pompatycznie „siedemdziesiąt plus”, dla których spotkania koleżeńskie i noce przegadane do rana wciąż są głównym sposobem komunikacji, a nie komputer i inne zdobycze internetowe XXI wieku.

Pomysł książki powstał właśnie na takim spotkaniu w restauracji Murowianka w Bochni przy ulicy Brzeźnickiej w upalny dzień drugiego sierpnia 2018 roku w gronie jedenaśtu absolwentów LP z 1965 roku i naszej polonistki Michaliny Pięchowej, która została pasowana na redaktorkę publikacji.

Jak to bywa z tego typu pomysłami, dojrzewał on przez rok, kiedy to w rocznicę, na kolejnym spotkaniu zapadła decyzja – spróbujemy napisać. Jednak do końca roku 2019 do redaktorki i współautorki książki trafiły jedynie trzy teksty. Ja też nieśmiało włączyłem się dopiero w styczniu 2020.

Przygoda pisarska na dobre rozwinęła się w marcu i do tego w cieniu pandemii. Profesor Pięchowa codzienne spotkania z telefonem przy uchu i z rękami na klawiaturze komputera nazwała dowcipnie i pieszczotliwie randkami autorskimi. I tak od marca do połowy sierpnia regularnie spotykaliśmy się online raz lub dwa razy dziennie – od jedenastej do trzynastej i wieczorem od osiemnastej do dwudziestej. Cóż to były



za spotkania w powodzi karteluszków wypełnionych odręcznym pismem koleżanek lub telefonicznych opowieści, które z przyjemnością zapamiętywałam podczas rozmów z kolegami. Czasem trwały one do późnych godzin nocnych, gdy po drugiej stronie telefonu był Ludwik z Roselle – siostrzanego miasta Bochni w USA. Niektórzy wzbraniali się coś opowiedzieć, zasłaniając się niepamięcią i wiekiem nadto dojrzałym. Na przykład Piotr spokojnie swoim basem oświadczył, że już nic nie pamięta i jedynie w trakcie spotkania przy lampce wina udałoby się coś wydobyć z rozleniwionej już pamięci. Nazajutrz, gdy zadzwoniłem do niego w porze śniadaniowej, z tajemniczą nutą w głosie oznajmił, że całą noc śniło mu się nasze LP w Bochni. I opowiedział. I tak książka wzbogaciła się o wspomnienie Piotra Przekłasy.

Potem godziny, godziny spędzone na pisaniu tekstu, aby nazajutrz lub kilka dni później zaskoczyć panią Michalinę nowym tekstem. I jak to bywa na randce, nie obeszło się bez zażartych dyskusji, małych sprzeczek. Zwykle spotkania kończyły się miłym „do usłyszenia”, a finalna wersja tekstu wypełniała kolejne stroniczki rodzącej się książki. W tym czasie Krysia Dziurdzia snuła dalsze wspomnienia szkolne, zdobywała od koleżanek kolejne wątki lub zdjęcia, a Janek Wieciech skanował i podsyłał pliki fotek, których jeszcze nie było w naszym, całkiem obfitym, autorskim archiwum. Przygotowanie prawie dwustu zdjęć do druku zajęło mi najwięcej czasu. Odklejone z albumu lub wyciągnięte z szuflady stare, czasem połamane lub poplamione zdjęcia w formacie 6 cm na 9 cm, niejednokrotnie wymagały kilkunastu godzin pracy edytorskiej nad każdym z nich, aby mogły trafić do naszej książki. To była żmudna, ale przyjemna praca. Przez parę godzin można było nie tylko przywrócić młodość obrazowi, ale też wrócić myślami do chwil, kiedy on powstał zarejestrowany aparatem Fed, Smiena, a w najlepszym przypadku polskim aparatem Start.

Basia Kowalska też dopisywała w treści elektronicznego listu kolejne akapity swoich opowiadań i czytała nowe strony, służąc na gorąco radą korektorską. Od czasu do czasu telefonowała Ala Brygowa i dyskutowaliśmy, jak tu znaleźć sponsorów, by wydać książkę.

W rocznicę podjęcia decyzji o napisaniu „Spojrzenia wstecz” spotkaliśmy się w Bochni w kawiarni „Oranżeria”. Na stole leżał wydruk 240 stron książki. Jakie mieliśmy miny? Trudno zgadnąć. Byliśmy w maseczkach. I wtedy 14 lipca 2020 roku narodziło się Stowarzyszenie Absolwentów i Sympatyków Liceum Pedagogicznego w Bochni, a jego matką chrzestną została Mariola Pilch, przewodnicząca Zarządu Stowarzyszenia Artystyczna Dolina Raby w Siedlcu.

Wtedy to Ala Brygowa zaproponowała dopisanie jeszcze jednego rozdziału, zatytułowanego „Nie tylko my”. Zaskoczona Pani redaktor, prof. Michalina Pięchowa, ze smutkiem przypominała: „Kochani, nie tak się rok temu umawialiśmy”. Po chwili przekomarżania się Ala obiecała, że nowy krótki rozdziałik autorstwa absolwentów z innych roczników będzie gotowy do redakcji za dwa tygodnie, a ja obiecałem, że z przyjemnością będę się na kolejne telefoniczno-komputerowe literackie randki. I jak to w życiu bywa z dotrzymywaniem obietnic, do pierwszego sierpnia nie powstała ani jedna nowa kartka. Jednak potem książka wzbogaciła się w końcu o sześćdziesiąt stron. To było dzieło kilkunastu autorów przypominających dzieje szkoły od jej powstania do pożegnania ostatnich maturzystów w 1970 roku. W tej ostatniej fazie pisania

wiele, wiele godzin na rozmowach, identyfikowaniu osób na zdjęciach spędziliśmy online razem z Jasiem Paruchem oraz innymi absolwentami wielu roczników, nieistniejącej już od pół wieku szkoły.

Czternastego października 2020 roku, w Dniu Edukacji Narodowej, książka „Spojrzenie wstecz. Przywołane wspomnienia”, praca zbiorowa absolwentów Liceum Pedagogicznego w Bochni pod redakcją Michaliny Pięchowej była gotowa do druku, ale bez finansowego wsparcia wydanie książki nie byłoby możliwe. W tym ostatnim etapie główna rola przypadła niezastąpionej wójcinie naszej klasy, bochniance Ali Brygowej będącej także przewodniczącą Sekcji Emerytów i Rencistów Małopolskiego Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dzięki jej zabiegom w tym trudnym czasie pandemii Stowarzyszenie Absolwentów i Sympatyków Liceum Pedagogicznego w Bochni zyskało przychylność i wsparcie Związku Nauczycielstwa Polskiego, władz Samorządowych Bochni, Wieliczki i Powiatu Bocheńskiego.

Chylę czoła przed redaktorką książki Michaliną Pięchową – naszą polonistką. Była bardziej za pan brat z komputerową technologią niż wielu moich kolegów i koleżanek z klasy. Nie tylko redagowała nasze wspólne dzieło i jest jego współautorką, ale też pisała teksty na komputerze, cierpliwie i dokładnie potrafiła pracować online przez wiele godzin dziennie ze swoim byłym uczniem. To nic dziwnego, bo nasza książka jest tylko jedną z wielu Jej publikacji. Zaprosiła nas, seniorów z rocznika maturalnego 1965, do wspólnej przygody, która w okresie pandemii nabrała szczególnego znaczenia. Znowu staliśmy się sobie bliscy i tak serdeczni dla siebie, jak przed laty.

Odeszła 28 lutego 2021 roku tuż przed swymi 90. urodziny. Będzie Jej nam bardzo brakowało.

Spis treści nr 2/2021 „Wiadomości Bocheńskich”

1. *Mój dziadek - Władysław Piotr Prajer (1879-1956)* - Małgorzata Prajers. 2
2. *Pamiętki czasów zarazy w Bochni* - Janina Kęsek s. 5
3. *Stopka redakcyjna* -s. 8
4. *Wspomnienia przyrodnika z Wenezueli z lat 1978-1979 - cz. 3 Tuszczaki - wyjazd z Caracas do parku narodowego tuszczaków* - Jan Krystyn Pinowski (Warszawa) s. 9
5. *Wspomnienia z lat okupacji* - Władysław Kopacz (Berlin)s. 11
6. *Wspomnienie przedwojennego Kolanowa* - Stanisława Szewczyk s. 18
7. *Udar mózgu a terapia logopedyczna* - Marta Kazek s. 22
8. *Dwa płuca jednej Europy* - Jerzy Pączek s. 24
9. **KRONIKA** - s. 26
10. *List do Redakcji* s. 28
11. *Nekrologi*s. 28
12. **BOCHNIANA** s. 31
 - *Warto przeczytać* - Ewelina Mroczek s. 31
 - *Ścieżkami szkolnych wspomnień* - Henryk Szaleniec s. 33

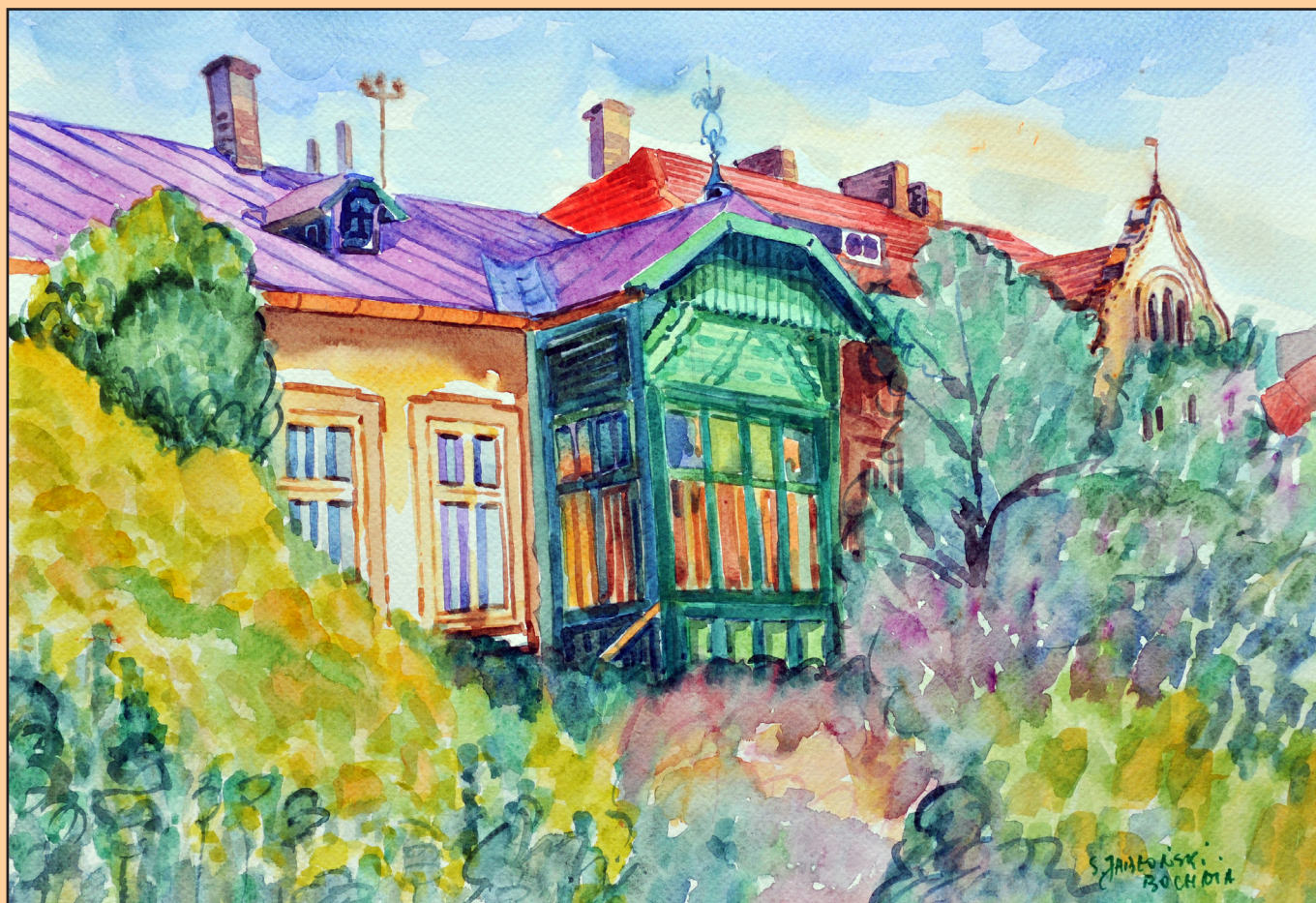
Na okładce: Str. 1 - Ołtarz św. Rozalii w Kościele św. Mikołaja w Bochni, dzieło Piotra Korneckiego z XVIII w. Fot. J. Kęsek. Str. 4. Akwarele Sławomira Jabłońskiego



Spotkanie koleżeńskie w restauracji Murowianka drugiego sierpnia 2018 roku. W pierwszym rzędzie od lewej stoją: Henryk Szaleniec, Maria Cygan (Gawor), Ala Kural (Brygowa), Michalina Pięchowa, Krystyna Dziurdzia, Barbara Kowalska (Włodarczyk), Tadeusz Sykta. W drugim rzędzie: Józef Kubas, Zbigniew Świątek, Jan Wieciech, Marian Kaleta i Władysław Fajfara. Fot. H. Szaleniec



Grupa założycielska Stowarzyszenia Absolwentów i Sympatyków Liceum Pedagogicznego w Bochni i współautorzy książki. Od lewej stoją: Ala Kural (Brygowa), Krystyna Dziurdzia, Józef Kubas, Barbara Kowalska (Włodarczyk), Michalina Pięchowa, Henryk Szaleniec, Marian Kaleta i Jan Wieciech. Fot. H. Szaleniec



Dom Waleriana Hillenbranda de Hildebranda, drukarza i wydawcy, przy ul. Bernardyńskiej - Sławomir Jabłoński, akwarela



Budynki salinarnie na Plantach na tzw. Stawisku - Sławomir Jabłoński, akwarela